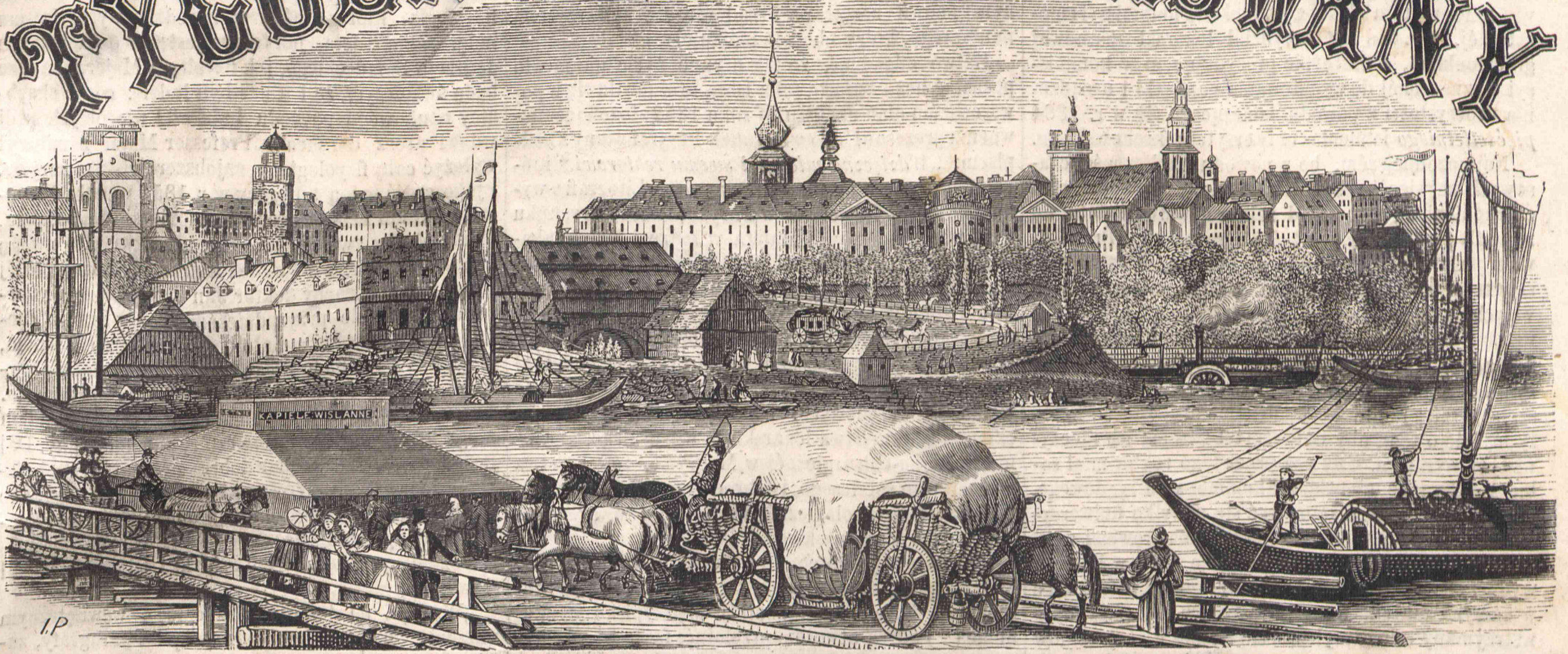


TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 64.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{3}{15}$ grudnia 1860.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie
rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Majer (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Zajęcie wyspy Alsen i odzyskanie miasta Koldyngi przez Stefana Czarnieckiego (z drzeworytu). — Dworzec modrzewiowy i lamus w Czarnomyślach (z dwoma drzeworytami). — Słówko o zamiatowaniu u nas w muzyce. — Złota brama w Kijowie (z drzeworytu). — Rebus. — Kronika sztuk pięknych. — Hrabianka Dynia, obrazek skrócony przez Teod. Tom. Jeża (ciąg dalszy). — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia.

Józef Majer,

PREZES TOWARZYSTWA NAUKOWEGO KRAKOWSKIEGO.

Z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam kreślić żywot męża znanego u nas z nauki i stanowiska, jakie od lat trzydziestu zajmuje. Bierzemy się do tej pracy nie w celu zapoznania współziomków z jego imieniem, bo kraj je oddawna zna i ceni, lecz raczej w celu złożenia hołdu nauce i okazania wdzięczności człowiekowi wysokiej inteligencji, żelaznej pracy i gorącego poświęcenia. Aby bliżej ocenić Majera, trzeba jego żywot rozdzielić na zawód nauczycielski, publiczny i literacki. Przebieżemy je pokrótce, o ile ramy tego pisma na to zezwalają.

Józef Majer, dzisiejszy prezes Towarzystwa naukowego krakowskiego i professor fizjologii w uniwersytecie jagiellońskim, urodził się w Krakowie dnia 12 marca 1808 r. Początkowe nauki pobierał w szkółce parafialnej przy kościele św. Szczepana, następnie w tamecznym gimnazjum i jagiellońskim uniwersytecie. Po ukończeniu w tym zakresie nauk, w r. 1831 dnia 12 stycznia otrzymał stopień doktora medycyny i chirurgii, i zaraz mianowany został sztabs-lekarzem w korpusie artylleryi. Po wystąpieniu ze służby, udał się w podróż naukową do Niemiec, z kąd po kilkumiesięcznym pobycie wrócił do kraju, oddając się praktyce lekarskiej. Zajęcie to jednak nie służyło mu za cel życia, bo popęd wewnętrzny skłaniał go do zajęć naukowych i zmuszał coraz bardziej do ograniczania się na wyjątkowych przypadkach praktyki lekarskiej. Usunąć się od zajęć praktycznych, nie dozwalały mu ani sama potrzeba naukowa, ani stosunki osobiste, ani wreszcie wzgląd na ludz-

kość, bo miłość chrześcijańska nagliła zanego profesora do ratowania cierpiących bliźnich.

W styczniu 1833 r. mianowany został nadzwyczajnym nauczycielem w wydziale lekarskim uniwersytetu jagiellońskiego. W r. 1835 odbył konkurs na profesora instytucji teoretycznych dla magistrów chirurgii. Wedle ówczesnych przepisów rozprawy konkursowe wydziału medycznego posyłane były do fakultetu lekarskiego uniwersytetu wiedeńskiego, który pracy Majera oddał zasłużoną sprawiedliwość. Skutkiem tego professor Majer otrzymał katedrę re-

czonego przedmiotu dnia 14 lipca 1835 r. Katedrę fizjologii w r. 1850 rząd austriacki odłączył od anatomii i tegoż roku dnia 30 lipca Majer otrzymał nominacyą na rzeczywistego profesora fizjologii. Stanowisko to zajmuje dotąd, z tą różnicą, że po ustanowieniu w r. 1855 drugiego profesora, wykładającego fizjologią po niemiecku, Majer wyklada ją po polsku w częściach, według własnego wyboru, a nadto miéwa odczyty z antropologii, na które stosunkowo znaczna ilość słuchaczy z całego uniwersytetu się zgromadza. Nadmienić tu wypada, że

choć wszystkie inne przedmioty wykładają się w uniwersytecie po niemiecku, Majer zdołał wymóżyć u rządu austriackiego pozwolenie na wykład swego przedmiotu w języku polskim.

Jako professor uniwersytetu pojmował, że stanowisko to wkłada podwójny obowiązek: pracowania dla uczniów, oraz popierania postępu nauki. Sumiennie téż wywiązał się zacy profesor z obu tych obowiązków; dowodem tego w pierwszym razie jest uczęszczanie na wykład uczniów niezobowiązanych żadnymi przepisami, a w drugim szereg licznych i ważnych prac na użytek publiczny oddanych.

Obok zatrudnień do stanowiska profesora bezpośrednio przywiązanych, professor Majer, gorliwy o dobro publiczne, któremu z całą miłością się ciągle poświęca, nie uchylał się od prac nie wpływających wprost z jego zawodu. Tak przyjął nadzór czterech szkół początkowych i sprawował go od r. 1839 do 1845, dopóki innego nie otrzymał przeznaczenia; w latach bowiem 1844 i 1845 wybrany został sekretarzem fakultetu lekarskiego, a w latach 1845, 1846, 1847 i 1848 był dziekanem tegoż wydziału. W tychże latach senat akademicki delegował go do nadzoru bursy, przeznaczonej na mieszkanie ubogich uczniów gimnazjalnych i akademickich. W r. 1848 uniwersytet jagielloński polecił mu, łącznie z profesorami Skoblem i J. Kremerem, udanie się do Wiednia w interesach uniwersyteckich. W tymże roku mianowany szefem gwardyi



JÓZEF MAJER.

(Kopia z portretu ofiarowanego mu w r. 1852 przez młodzież akad. krak.).

wój oddziału akademickiego. W roku 1852 wany został do komitetu zajmować się mają-wraz z bibliotekarzem, wyborem dzieł dla biblioteki uniwersyteckiej. W roku 1856 professorowie uniwersytetu obrali go członkiem kommissyi emerytalnej, w r. zaś 1860 wydział lekarski mianował go członkiem, a następnie prezydującym w kommissyi wyznaczonej do wygotowania pamiątki i urzędzenia uroczystości z powodu kończącego się w r. 1864 pięćsetletniego istnienia uniwersytetu krakowskiego.

Najmożniejszą, bo z powodu okoliczności czasowych najwięcej poświęcenia i energii wymagającym zatrudnieniem, był urząd rektora uniwersytetu, od r. 1848 przez lat trzy z kolei sprawowany. Prawdziwym poświęceniem, wielką czynnością, zacnym sposobem myślenia, a bystrym taktem odznaczył się w tych przelicznych i mozolnych obowiązkach. Pominiawszy ówczesne okoliczności, najmniej przyjazne porządnemu biegowi nauk, był to jeszcze czas, w którym nową nauką reformę wprowadzano, a ogłoszone zasady rządu we względzie narodowości, kazały myśleć o tém, aby uniwersytet stał się ich rzeczywistym wyrazem. Gdy zaś prócz tego rektor miał sobie powierzone obowiązki kommissarza rządowego, musiał więc jeszcze zajmować się nietylko uniwersytetem, lecz wszystkimi zakładami naukowymi w w. ks. krakowskiem. Były to wreszcie lata w których wydarzył się pamiętny pożar Krakowa, który, choć w samych zakładach uniwersyteckich szczęśliwie powstrzymany, zniszczył przecie mienie wielu uczniów i ich rodziców, tamując tym sposobem dalszą ich naukę. W takim stanie rzeczy trudnym zaprawdę zadaniem rektora było staranie około porządnego biegu nauk, o utrzymanie młodzieży na drodze wskazanej własnym jej i kraju całego interesem, o zwiększenie środków jej wszechstronnego kształcenia, a tém samém o podźwignienie świetności uniwersytetu przez wyjednywanie katedr nowych i obsadzanie ich rodakami, (w miejsce niemieckich professorów, którzy przysłani w r. 1847, przy nowej zmianie w r. 1848 z Krakowa odwołani zostali); nadto krzątanie się około niezwłocznego przekładania na język krajowy licznych rozporządzeń nadsyłanych w myśl dokonywanej reformy, i wreszcie obmyślanie wsparcia dla ubogich, a przez pożar jeszcze w gorszym stanie znajdujących się uczniów. Przy współdziałaniu kolegów, usiłowania p. Majera nie były daremne: pomnożyły się katedry, a między nimi powstała katedra prawa polskiego i historii polskiej, zwiększyło się grono professorów kilką słynnymi imionami. Trzydziestu z młodzieży nietylko przez rok cały miało zapewnione utrzymanie, ale starczyło nawet funduszu na założenie prywatnej biblioteki dla prawników, i jeszcze znaczną kwotę mógł rektor przy końcu swego urzędowania złożyć następcy.

Z obowiązkiem rektora łączył się wówczas urząd prezesa Towarzystwa naukowego krakowskiego, zjednoczonego z uniwersytetem. Wszakże i po ukończeniu trzechletniego urzędu rektora, dogadzając życzeniu swojego następcy, popartemu zgodnym głosem członków towarzystwa, podjął się przewodniczenia temuż jeszcze przez rok czwartemu. Znane jest urządzenie towarzystwa, dokonane podówczas według planu prezesa. Z ogłoszonego statutu wiadomo, że towarzystwo działać poczęło tak w kierunku popierania postępu nauk, jak i szerzenia oświaty, a ze sprawozdań widać, o ile czynności w tych kierunkach się rozwinęły. Dzięki energii i troskliwości Majera, dobrej woli i pomocy kolegów, towarzystwo wsparło naukę licznymi pracami, ogłosiło ważny zabytek z dziejów uniwersytetu, zebrało różne dokumenta historyczne, rozciągnęło opiekę nad zabytkami starożytności, zrobiło początek muzeum archeologicznego, rozpoczęło pracę około powszechnego słownika naukowo-terminologicznego, wydało z dziewięć książek do nauki uniwersyteckiej, gimnazjalnej i ludowej, założyło kilka biblioteczek parafialnych, zachęcało nauczycieli szkółek ludowych pieniężną nagrodą, a w wielu podobnych szkółkach i ochronkach ubogim dzieciom dostarczało książek. Prezes z wdzięcznością uznawał pomoc jakiej doświadczał od zacnych i chętnych mu kolegów, do niego przecież należał kierunek, zarządzenie mnożącym się potrzebom i zagrzewanie przykładem do pracy, z czego wywiązywał się w sposób chlubny dla siebie, a korzystny dla ogółu.

Po zreorganizowaniu towarzystwa odpowiednio nowym przepisom, Majer przyjął i przez lat 3 wpeł-

niał obowiązki prezydującego w oddziale nauk przyrodniczych i lekarskich, z którego wyszła obmyślona przez profesora Dietla kommissya balneologiczna.*) Z tego stanowiska professor Majer w r. 1859 powołanym znowu został na urząd prezesa towarzystwa naukowego, który obecnie piastuje.

Łatwo odgadnąć, że tak czynne życie nie mogło pozostać bez nagrody, jaką istotnie objawiła się w powszechném dlań uznaniu. W roku 1852 złożono szanownemu prezesowi jego wizerunek litografowany z podpisem: „Wdzięczna młodzież swemu rektorowi,“ którego kopią dajemy tu w drzeworycie. Litografia wykonana przez Lemercier w Paryżu, według rysunku Statlera, przedstawia Majera w todze i birecie akademickim. Dalej w roku 1857 w dniu imienin nadesłano z Warszawy szanownemu prezesowi powinszowanie zbiorowe, z podpisami tutejszych lekarzy, niegdys jego uczniów. Zestrony korporacji i towarzystw naukowych po opuszczeniu urzędu rektora, odebrał chlubne uznanie professorów uniwersytetu, zapisane w aktach urzędowych. Dalej otrzymał dyplom na członka towarzystwa lekarskiego wileńskiego, akademii lekarsko-chirurgicznej w Madrycie, towarzystwa gospodarzo rolniczego, i dobroczynności w Krakowie, kommissyi archeologicznej wileńskiej i towarzystwa lekarskiego warszawskiego.

Opisawszy pokrótce dwa pierwsze działy żywota Majera, przejdźmy teraz do trzeciego, to jest do literackiego. Dzieła jego, poniżej w przypisku wymienione,**) nie są utworem przelotnej fantazyi, ale wy-

(*) Trudniąc się badaniem i wyszukiwaniem wód mineralnych krajowych.

(**) Dla obznajmienia ogółu, a szczególnie młodzieży poświęcającej się zawodowi lekarskiemu, z pracami profesora Majera, wyliczamy je tu, z podziałem na przedmioty.

I. W przedmiocie języka, a mianowicie terminologii polsko-lekarskiej.

1. Uwagi nad niektórymi wyrazami lekarskimi. Kraków 1835 roku.
2. Objasnienia spostrzeżeń nad wyrazami lekarskimi, zamieszczonemi w kwartalniku naukowym z r. 1836.
3. Słownik anatomiczno-fizyologiczny, ułożony przez Dr. Józefa Majera i Fryderyka Skobla, professorów wydz. lek. w uniw. jagiellońskim, 1838.
4. Niemiecko-polski słownik wyrazów lekarskich, 1842.
5. Uwagi w przedmiocie zasad słownictwa lekarskiego w ogólności, 1849.

II. W przedmiocie historii rzeczy lekarskiej w Polsce.

a. Wiadomości biograficzne.

6. Wojciech Nowopolski (Novicampianus) pod względem tożsamości jego imienia teologa i lekarza. 1840. Przedr. w Przyjacielu ludu 1841, tom II str. 316.
7. Wiadomość o życiu i pracach naukowych I. Innoc. Pełtrycego 1841. Przedr. w Przyjacielu ludu.
8. Zawód lekarski Jana Brosciusza 1842.
9. Wspomnienie o życiu i zasługach nauczycielskich Wojciecha Boduszynskiego, 1843. Przedr. w Przyjac. ludu.
10. Wspomnienie o Krzysztofie Najmanowiczu. 1844.
11. Kilka wiadomości o Walentym z Lublina i Walentym Fontanie. 1845.
12. Spis doktorów medycyny i chirurgii, którzy otrzymali stopnie od uniwersytetu krakowskiego od r. 1800 do 1845, z niektórymi szczegółami biograficznymi. 1845.

b. Do historii wydziału lekarskiego w Krakowie.

13. Wiadomość z dziejów wydziału lekarskiego w Krakowie 1839.
14. Ustawy wydziału lek. z lat 1433, 1525, 1536, 1724, pierwszy raz z rękopisu ogłoszone.
15. Stan wydziału lekarskiego w uniw. jagiel., od jego początku aż do r. 1847. 1849.

c. Do historii postępu nauk i rzeczy lekarskiej w Polsce.

16. Obraz postępu nauki lekarskiej, o ile nań wpłynęły prace lekarzy polskich w latach 1837 do 1839. 1840. Przetłumaczony na język niemiecki przez Z. A. Ripellego w Wiedniu 1842.
17. Wiadomość historyczna o urzędzeniach weterynarskich w m. Krakowa 1842.
18. Obraz, jak wyżej, z lat 1840 do 1842.—1843.

III. W przedmiocie fizjologii.

19. Rozbiór objawień żywotnych, należących do sprawy wychowania. 1837.
20. O różnicy osobniczej, jako przyczynek do nauki o temperamentach 1838. Przetłumaczono obszerne wyciągi na język niemiecki w *Medicin. Jahrbücher d. Oest. Staates* r. 1843, str. 249.
21. Przegląd potworów rybich. 1841.
22. Skutki ciśnienia powietrza pod względem fizyologicznym i patologicznym. 1844. Wyciąg obszerny umieszczono w *Medicin. Jahrb. d. Oest. Staates* 1845, str. 371.
23. Wpływ stanu meteorologicznego na śmiertelność, według dziesięcioletnich spostrzeżeń w Krakowie. 1845.
24. Doświadczenia w przedmiocie wydzielenia i chlomonienia. 1845.
25. Doświadczenia fizyczne, dotyczące tworzenia się na krwi powłoki. 1849.
26. Rozbiór fizyologiczny wprawy, przyzwyczajania i nałogu. 1850.
27. Szczegół historyczny w przedmiocie budowy nerwów. 1850.

plywem nauki, głębokiego myślenia, doświadczenia i żelaznej pracy. Nie tu jest miejsce na podawanie szczegółowego ich rozbioru. Niepodobna nam jednak nie zwrócić uwagi na najważniejszą pracę Majera, na fizjologię, która głośno w narodzie wyrobiła mu imię. Takie dzieła, jak teoria jestestw organicznych Jędrzeja Śniadeckiego, jak fizjologia Majera, zawsze będą świadczyć, że i u nas byli ludzie, co do skarbnicy naukowego pochodzenia ludzkości więcej jak swój wdowi grosz dorzucali. Professor Majer zamierzył wyłożyć całą fizjologię w najobszerniejszym zarysie, i jako część jedną tej pracy w r. 1854 wydał „Fizjologię układu nerwowego.“ Ukazanie się tego dzieła, pierwszego w swoim rodzaju u nas, zwróciło uwagę świata lekarskiego w Polsce i zagranicą. Europejskiej sławy fizyolog, zacny doktor Jan Purkynie, w wybor-ném czasopiśmie przyrodniczym *Živa* w Pradze czeskiej wychodzącém a mało u nas upowszechnioném, w Nrze 8 z r. 1854, dając jego rozbiór, tak się wyraził: „Mamy w rękę fizjologię układu nerwowego. Autor obiecuje nam dopełnić całą naukę, skutkiem czego mielibyśmy trzy albo cztery podobne tomy. Daj Boże, aby ten jego zamiar dobrze się powiódł i w krótkim czasie spełnił. Wówczas Polacy mieliby dokładne dzieło naukowe, jakiego tylko od Niemców przywlekliśmy dotąd oczekiwać.“

Później przytacza treść książki i odzywa się temi słowy:

„Wypada mi jeszcze nadmienić o wewnętrznym układzie. Wykład jest podzielony na paragrafy, zawierające zasadnicze wiadomości, i na uwagi, zapoznające czytelnika z wątpliwościami, historycznym rozwojem i literaturą rozbieganego przedmiotu. Zajmują one blisko połowę dzieła, mieszcząc się zaraz pod każdym paragrafem, są bardzo interesujące i z największą świadomością poczynione, tak iż do obszernych a głębokich studyów z samych źródeł służyć mogą.“

We trzy miesiące dopiero po czeskim rozbiórze, ukazał się polski przegląd krytyczny doktora Natanson w Tygodniku lekarskim warszawskim, w Nr 47 z r. 1854.

Po wyjściu w r. 1857 dalszego ciągu pracy Majera p. t. „Fizjologia zmysłów,“ professor Purkynie znowu uprzedził polski rozbiór, mówiąc: „Witamy radośnie to dzieło, już nietylko jako użyteczne wzbogacenie literatury słowiańskiej, ale jako znakomitą zdobycz na polu nauki w ogóle. Fizjologia Majera może już teraz stanąć obok najlepszych prac tego rodzaju, czyniąc zupełnie zadość tak szkolnym potrzebom, przez wykład jasny, treściwy, łatwy do zrozumienia, jak i samym fizyologom, którym zastępuje mozolne rozczytywanie się w rozciągniętej obcych literaturze. Błogosław Boże dalszemu ciągowi tej pracy!“ (*Živa* r. 1857, strona 160).

Polskiego ocenienia fizjologii zmysłów dotychczas nie mamy, a czas byłby wielki, bo nauka ciągle postępuje. Mamy nadzieję, że to samo pióro, co nad pierwszą częścią chlubne dla autora uwagi poczyniło, zastanowi się i nad drugą, celem spłacenia długu nauce. Kto wie, czy tylko nie będzie to już za późno.

Ostatnią pracą Majera jest przemowa przy objęciu urzędu prezesa Towarzystwa naukowego krakowskiego, w dniu 25 lutego b. r. Przemowa ta jest jego wyznaniem wiary, wypowiedzianém z serdeczną szczerością, z którego kilka ustępów przytoczyć tu sobie

28. O zębie jeżowca, jako przyczynek do porównawczej histologii (anatomii drobnowidzowej) zębów. 1852.
 29. Fizjologia układu nerwowego. 1854.
 30. Fizjologia zmysłów. Kraków 1857.
 31. Badania płam krwawych sądowo-lekarskie. 1859.
 32. Dostrzeżenie wielkości przedmiotów widzianych. 1860.
 33. Sposób obliczania ilości krwi u człowieka żywego, według własnego pomysłu, rzecz czytana na posiedzeniu Tow. Nauk. Krak. r. 1840, ogłoszona w Roczniku wydz. lek. t. VI, str. 61.
 34. Artykuły fizyologiczne w Encyklopedyi powszechniej Orgelbranda.
- #### IV. Pisma wynikłe ze stosunków Towarzystwa Naukowego krakowskiego.
35. Głos wykazujący zasady i cele nowego urządzenia Towarzystwa. 1848.
 36. Zjawiska napowietrzne, jako część układu nauk dla ludu przez Towarzystwo ogłoszonych. 1849.
 37. Zagajenie posiedzenia publicznego, obejmujące wywód stosunku uniwersytetu do państwa i innych zakładów naukowych. 1850.
 38. Zdanie sprawy z czynności Tow. Nauk. Krak. od roku 1848/9 do 1851/2.
 39. Pogląd historyczny na Tow. Nauk. Krak., z czasu jego związku z uniwersytetem jagiellońskim. 1858.
 40. Przemowa przy objęciu urzędu prezesa Tow. Nauk. Krak. w lutym 1860 r.

pozwalamy. Mówiąc o ważności nauk przyrodniczych, szanowny prezes tak się wyraził:

„Obszar ten naukowy, choć mniej dla publiczności ponętny, wielkiego przecie jest znaczenia. Mniej ponętny, bo nie trafiający tak prosto do serca narodu, jak to, co dotyczy jego dziejów, języka i stosunków społecznych. Przeważnego znaczenia, bo odślanający myśl Stwórcy, utajoną w dziełach jego ręki; poddający pod władzę człowieka potęgę działaczy przyrody; uwalniający coraz więcej ducha z pod ciężaru i pęt materyi; przygotowujący, o ile dano człowiekowi, swobodniejsze kiedyś jego panowanie; używający doczesną pielgrzymkę człowieka, a przez wykrycie cząstki cudów stworzenia na ziemi i niebie, uczący korzystać się przed nieograniczonym majestatem Boga.“ I dalej: „Zrozumiemy to wreszcie, że gdzie nie przykładą się ręki do uprawy tego pola nauk, tam zaciąga się ciężki dług w obec postępu oświaty, bo zostawi się próżnię w takim właśnie miejscu, z którego ludzkość odnosić winna korzyści, żadnym innym wysileniem ducha zastąpić się nie dająca. Na szczęście kraj nasz może wykazać wiekopomne imiona i patryarchy optyki, i twórcy nowej astronomii; długo jednakże brakowało mu tej mnogiej pracowników rzeszy, których drobniejszym, ale codziennym dorobkiem przygotowują się znacznie postępy nauki, a jak gdyby wysilony zdobyciem się na kilka pierwszorzędną potęg, przystał w tyle, dał się o wiele prześcignąć postronnym i w odrętwieniu stracił niemal poczucie swego obowiązku. Nie wchodzę w powody które to zrzędziły: historia wykazuje ich podostatkiem. Nam idzie o wejrzenie w siebie, o poznanie tego co jest, a co być powinno, o wydobycie z tego przekonania zapału nie dającego myśleć o trudnościach, o rozbudzenie godziwej dumy zdążania na to stanowisko, z którego spoglądając, ujrzelibyśmy się wyższymi nad przesąd, co nas uważa za dzieci, wymagające zawsze obcego starania, za ludzi nieumiejących inaczej myśleć, tylko przez zastępstwo, przez wyręczenie się w tej mierze innymi.“

Przechodząc następnie do ocenienia trudności swego stanowiska, odzywa się gorąco: Czuję to dobrze, że stanowisko jakie mam zająć odtąd w Towarzystwie wkłada na mnie obowiązek odezwania się do kraju; ale czuję zarazem jak dalece brakuje mi w tej mierze zaufania w siebie..... Mam jednak zastęp, którym skuteczniej niż własną siłą serca rodaków zniewolić potrafię: obsacę je z jednej strony siłą zacności, prawości i użyteczności celów do jakich zdążamy; z drugiej, groźnym widokiem naszego sieroctwa; a gdy na czele stawię miłość kraju, pewnym być mogę zwycięstwa. Kto w obec takiej siły stanąłby jeszcze opoką, temu przedstawię wyrok opinii, urągania postronnych i sąd potomności.“

Taki jest żywot człowieka pracy i nauki, otoczonego miłością towarzyszy i młodego pokolenia, dla którego na zawsze dzielnym pozostanie wzorem. Czy tylko w nas znajdzie się tyle zasobów siły i wytrwania, ile potrzeba do cząstkowego chociaż naśladownictwa?.....

J. F. Nowakowski.

Kronika tygodniowa.

Wchodzimy już w przedświąteczny cykl. Każde doroczne wielkie święta u nas mają niejako swoją atmosferę; otóż my znajdujemy się obecnie w atmosferze świąt Bożego Narodzenia. Jakiś ruch z opłatkami po mieście, jakiś odór pierników w powietrzu, jakieś wystrojenie się sklepów w gwiazdkowe podarunki. A co to tych nowości, a co to tych wystaw, a co to tych świetności różnych! Aż oczy bolą patrzeć, a gorzej jeszcze boli kieszeń, na samo wspomnienie, ile to wszystko kosztować będzie.

Małoby kto zaiste uwierzył, jak wiele w tych czasach pieniędzy pójdzie na różnego rodzaju podarunki, fraszki i t. p. Bo to są wszystko rzeczy małego użytku, prędko zepsute, prędkiej jeszcze zapomniane, a wysoką stosunkowo odznaczające się ceną. Nie zbyt cennym więc będzie uczynić w tej mierze kilka uwag, zwłaszcza gdy czas po temu.

Już to w całym tym assortymencie podarunków, zabawki dla dzieci najważniejszą grają rolę. Istnieją one na różne ceny i są różnego rodzaju. Najwięcej użytku przedstawiają te, które przy zabawie są zarazem nauczające; najpraktyczniejsze one, ale można

powiedzieć i najtańsze zarazem. Przeciwno takim nie mamy nic, bo łączyć naukę z zabawą, jest właśnie zadaniem tych, co dbają o rozwój umysłów dziecięcych. Inne zabawy stanowią gry różnego rodzaju; te także poniekąd wpływają na rozwinięcie umysłu, więcej jednakże jesteśmy za takimi, które dając ruch, dopomagają rozwijaniu się ciała. Ale najwięcej podobno w cenie trzymają się fraszki żadnego rzeczywistego nie przedstawiające użytku.

Owóż obeszliśmy kilka sklepów, żeby dowiedzieć się trochę o cenach i porównać je z sobą. Wszystkie te rzeczy po większej części sprowadzane są z zagranicy, z Niemiec, z Francji, czasem, chociaż rzadziej daleko, z Anglii. I trudno wyobrazić sobie do jak bajecznych cen doszły one u nas. Są zabawki kilkrotnego zaledwie użytku, które kosztują po 100, 200, 300, 400 złp. a nawet i więcej. Niczym zapewne nie miał przeciwko temu, bo jeżeli takie są rozkupowane, widać że istnieją ludzie mający pieniądze na wyrzucenie, a nie chcemy się wcale wdawać w kontrolę ich wydatków osobistych. Ale mamy zupełnie prawo zwrócić uwagę na różnicę jaka istnieje pomiędzy cenami zagranicznymi, a tutejszemi. Znamy mniej więcej te ceny zagraniczne i przekonaliśmy się dokładnie, że to co na przykład w Paryżu kosztuje 10 franków, tutaj sprzedaje się po 50 złp. i tak dalej stosunkowo. To już zbyt wielka różnica. Trzeba wprawdzie i na to liczyć, że to są wszystko rzeczy chwilowego tylko pokupu, że dzisiejsza właśnie epoka największą dla nich wziętość zapewnia, więc kupiec na to wszystko procent odliczyć powinien. Ale pomimo tych wszystkich powodów, procent ten wydaje nam się znacznie przesadzonym, i śmiałoby się można daleko mniejszym kontentować. Owóż dziwimy się dlaczego pewien bardzo zyskowny rodzaj przemysłu zostaje u nas w zupełnym prawie zaniedbaniu. Mówimy tu o fabrykach zabawek dziecięcych. Zagranicą takich fabryk istnieje mnóstwo i niemało one przynoszą korzyści swoim właścicielom; u nas zaledwie jedna albo dwie na większą trochę stopę są urządzone, a wyroby ich, przyznać to trzeba, żadnego nie wytrzymują porównania z zagranicznymi. Są one tylko, można powiedzieć, niezręcznym naśladowaniem tamtych. I dlatego to zabawki z zagranicy sprowadzane doszły do tak ogromnej ceny. I musi tak być, kiedy znaczniejsze sklepy galanteryjne trudnią się od pewnego czasu sprowadzaniem zabawek i rachują na dochód z nich jako niezawodny, chociażby połowę tylko rozprzedały.

Unas klasa robocza niechętnie się bierze do rzeczy nowych dla siebie, chociażby one nawet widoczny zysk przynosiły. I czy to pochodzi ze zwykłej rodowi naszemu opieszałości, czy też z tego, że mało dotąd rozwinięte potrzeby w ludzie naszym prostym nie każą mu zbyt cennie się troszczyć o zarobienie pieniędzy, dość, że chociaż roboty u nas nie brak i rąk byłoby dosyć, ale o użytkowanie tych rąk najtrudniej właśnie. Najlepiej to zaświadczą obywatele nasi wiejscy, którzy w czasie roboczym wielki nawet stosunkowo ofiarując zarobek, nie mogą się ludzi doprosić. W niektórych okolicach cena dnia doszła do 3ch złp. i więcej, i zdawałoby się że w miejscach gdzie tak wysokie stosunkowo ceny istnieją, nie powinno być braku robotników; a jednak ogólnie uskarżają się na niedostatek i to do tego stopnia, że od kilku lat włościanie z Galicji i ze Szląska przychodzą tutaj na zarobek, i godząc się daleko taniej od naszych włościan, prędkiej i lepiej odrabiają robotę. Niektórzy nawet z obywateli osadzili u siebie tych przybyszów, inni znowu sprowadzali Kaszubów całymi rodzinami i są z nich najzupełniej zadowoleni.

Ale najdotykalszym przykładem tego wstrętu do roboty są, jak słyszeliśmy, świeżo przedsięwzięte roboty około kolei żelaznej warszawsko-bydgoskiej. Zarząd kolei chciał tu na miejscu ugodzić robotników, jak to wydaje się naturalnym, koniecznym nawet, i w różnych miejscowościach czyniono ofiary; lecz w niektórych okolicach chłopci żądali po 5 złp. dziennie, i za tę nawet cenę niechętnie godzili się do roboty. Trzeba więc było znowu udać się po ratunek do sąsiedniego Szląska i jak nas upewniano, sprowadzono z tamtąd kilka tysięcy robotników, którzy za połowę niemal ceny żądanej przez naszych włościan, podjęli się tej roboty.

Smutny to fakt, ale przekonywa on tym gruntowniej, ile usilnych nasz lud potrzebuje jeszcze starań około swego ukształcenia i wyprowadzenia choć tro-

chę z tego stanu niedojrzałości w jakim się dotychczas znajduje. Wiem dobrze iż teraz na dobre jest poetyzowanie ludu i uznają jego przymioty: poczciwość, szczerłość, pobożność; ale wszelkie poetyzowanie nie powinno przeszkadzać uznaniu nagięj prawdy i nie uwalnia od odpowiedzialności tych, na których leży obowiązek pokierowania go w stronę właściwą.

Wracając jeszcze na chwilę do zabawek dziecięcych, które służyły nam za punkt wyjścia, dodamy że niktby nie uwierzył jakim celom posługują nieraz te drobne fraszki ofiarowane w podarunku. Znany to fakt, że jakiś postulant, nie wiedząc jak trafić do pewnego pana, na którego łaskach wiele mu zależało, ofiarował córce jego w dzień Bożego narodzenia lalkę naturalnej prawie wielkości, przybraną wstrój paryzki piérszkiej mody. Ale oprócz stroju paryzkiego, lalka ta miała podobno bardzo piękny złoty zegarek patkowskiej fabryki i inne kosztowności, wartujące kilka tysięcy złotych. I dowcipny ten dar nie zmarnował się bynajmniej, przyjęto bowiem w tej formie to, co w innej odrzuconoby niezawodnie, a interes poszedł dobrze.

Z miejskich potocznych nowin możemy donieść, że liczba członków resursy Nowej znakomicie wzrasta, na co zapewne niemały wpływ wywierają budowanie nowego gmachu tejże resursy. Zapowiadają nam nowy bruk kostkowy na Krakowskim Przedmieściu i Nowym świecie; bo i rzeczywiście wynalazek Macadama, dotąd tam w praktyce będący, wyborny dla dróg publicznych, staje się bardzo uciążliwym w mieście, gdzie niema przy każdym przejściu przygotowanych łódek do przepływania ulic. Nie raz myśleliśmy sobie, jak w głowie Anglika mógł się wyrodzić taki bezsens w zastosowaniu do miejskich komunikacji; ale świeżo dowiedzieliśmy się że droga żwirowa jest wynalazkiem czysto chińskim i prawda zaświeciła nam. Wszelkie chińskie zwyczaje i wynalazki, wszczepione w nasz grunt, nie wiodą się jakoś, zaczawszy od herbaty, która źle działa na nerwy, a skończywszy na bezprześcannym podziwianiu i uwielbianiu siebie samych, które w końcu prowadzi do idiotyzmu. Nie dziwota więc że i droga żwirowa nie wyszła na dobre Warszawie.

Spełniły się tylokrotnie objawiane życzenia i nadzieje: Towarzystwo sztuk pięknych istnieje już. W zeszły czwartek na pierwszym posiedzeniu rzeczywistych członków towarzystwa, których zebrało się 230 kilku, przystąpiono do wyboru członków komitetu, mającego zarządzać wystawą. Pod dobrą wróżbą rozpoczęło się dzieło, Bóg da że dobra chęć a wytrwałość dopomoże mu do zupełnego rozkwitu. Cena akcyj bardzo mała stosunkowo i powinny się one rozejść bardzo szybko, bo nie bacząc już nawet na moralne powody, ze strony czysto materyjalnej przystąpienie do towarzystwa jest bardzo korzystnym interesem.

O teatrze amatorskim danym wczorajszego wieczora w Dobroczyńności na ubogich krótką tylko możemy uczynić wzmiankę, z trudnością bowiem do gotowej już kroniki te kilka wyrazów włączyć nam wypada. Wszyscy amatorowie i amatorki grali bardzo dobrze; scena p. Chęcińskiego drukowana w Tygodniku Ilustrowanym podobała się ogólnie, i spektakl była pełną, więc główny cel osiągnięty. W poniedziałek powtórne przedstawienie, na które, jak nas zapewniano, połowa już miejsc zamówionych.

Na jednym z uroczystych zebrań prowincjonalnych wnoszono zdrowie zasłużonego obywatela, który wpływem i przykładem najczynniej przyłożył się do powstania u nas domów rolniczych.

— Z największą chęcią spełniam ten toast, zawołał jeden ze współbiedniaków, bo pan ** nietylko znakomitym jest obywatelem, ale i jednym z największych astronomów swojego czasu.

— Astronomów? Co przez to chcesz powiedzieć? odezwał się uczczony.

— Tak jest, nie cofam wcale mojego twierdzenia, i dodaję nawet, że jesteś najznakomitszym astronomem jakiego wieki nasze wydały i tylko z jednym Kopernikiem możesz iść w porównanie.

— A to jakim sposobem?

— Prosta rzecz: Kopernik dowiódł że nie słońce koło ziemi, ale ziemia koło słońca się obraca. Tyś nas także najdowodniej przekonał, że nie szlachta koło lichwiarzy, ale lichwiarze koło szlachty powinni się kręcić. Powiedźcie panowie sami, czy to nie największe tego wieku odkrycie?

ZAJĘCIE WYSPY ALSEN

I ODZYSKANIE

MIASTA KOLDYNGI PRZEZ STEF. CZARNECKIEGO,
w grudniu 1658 roku.

Jakie lądy, jakie morza
Jam zbiegł niegdyś—wiedzą ludzie.
(Zyg. Kr.)

W pamiętnym najściu Szwedów pod Karolem Gustawem, zwycięstwa Czarnieckiego, co to znieca spadać umiał wszędy jak piorun i druzgotać nieprzygotowanych, już większą część kraju z nieprzyjaciół oczyścił. Gasnęła widocznie gwiazda śmiałego zaborcy szwedzkiego; bo chociaż z jednej strony pozyskał nowego sprzymierzeńca w Rakocym księciu siedmiogrodzkim, była to pomoc niedołączna i zawodna, a z drugiej za to mnożyli się przeciwnicy. Ze Szwecyi nadeszła wiadomość o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich przez króla duńskiego Fryderyka III, który już opanował Bremę. Między Austryą a Polską stanęło w Wiedniu (27 maja 1657) przymierze dziesięcioletnie, którym cesarz Leopold zobowiązał się dostarczyć Rzeczypospolitej 17,000 wojska posiłkowego. Elektor brandenburski pokojem welawskim (19 września 1657) odstąpił od związku ze Szwedem i przeznaczył na usługi Jana Kaźmirza 6000 zbrojnych. Już Małopolska, Wielkopolska, Mażowsze i Podlasie wyparły z swych granic najezdniców; tylko w Prusach królewskich tkwili jeszcze Szwedzi, trzymając zwłaszcza porty, z wyjątkiem wiernego Gdańska. Należało korzystać z okoliczności i przenieść widowie wojny w kraj nieprzyjacielski.

Według umowy pomiędzy sprzymierzonymi, połączone wojska cesarskie, brandenburskie i polskie, pod naczelnym dowództwem elektora, udać się miały do Szlezwiagu, w pomoc królowi duńskiemu. Hr. Montecuculi prowadził 14,000 Austryaków, elektor 12,000 Brandenburczyków, Czarniecki zaś z Opałskim 6000 wyborowej jazdy polskiej. Były tam między innymi chorągwie: królewska husarska, porucznik Michał Wojniłłowicz; Czarnieckiego husarska, porucznik Pągowski; pancerna tegoż, porucznik Piotr Mężyński; Leszczyńskiego krajczego kor., porucznik Władysław Skóraszowski; Branickiego podstolego kor., porucznik Kaźmirz Kułak; Myszkowskiego, porucznik Paweł Borzęcki. Prócz tego stanęło w jej szeregach wielu ze znakomitszej szlachty, jak: Adam Działyński, Franciszek Czarnkowski, Kaźmirz Piasoczyński, Aleksander Polanowski, Mikołaj Kozubski i inni. Oddziały te, wyruszywszy trzema szlakami, wkroczyły przez Holsztyn do księstwa szlezwickiego

i dopiero 14 listopada 1658 r. złączyły się w północnej jego części, pod miastem Hadersleben.

Szwedzi, trzymając od północy miasto Koldyngę, od południa zaś wyspę Alsen, panowali tym sposobem nad całym przepływem małego Beltu; pierwszym więc usiłowaniem sprzymierzonych musiało być wyparowanie przeciwników z tych punktów, ażeby przepawić się do Fionii, ztamtąd przez wielki Belt do Zelandyi i zabrać tył Szwedom oblegającym Kopenhagę. Zaraz też, mimo pory spóźnionej, elektor z Czarnieckim posunęli się od Hadersleben ku Koldyndze, leżącej po tamtej stronie wązkiej, głęboko na zachód między Szlezwigiem a Jutlandyą wkraczającej zatoki Beltu. Za przybyciem do zatoki, piechota brandenburska i austriacka zaczęła przepra-

trzymając je za cugle. Dwanaście chorągwi polskich przepawia się tym sposobem bez szwanku, a Niemcy, zachęceni przykładem, rzucają się w ślad za nimi. Tymczasem też piechota już na dobre z okrętów wysiadła, a załoga koldyngska, na widok przeważnej siły, spieszenie miasto opuszcza. Czarniecki, kazawszy osiedlać mokre i trzęsące się od zimna kłnie, w ponsowej deli tureckiej dosiada swego taranta i rusza w pogoń za Szwedem; ale z powodu zapadającej nocy schwytać zdołał jednego tylko kapitana i kilku szeregowców.

Zostawiwszy w Koldyndze oddział piechoty brandenburskiej i cztery chorągwie jazdy polskiej, sprzymierzeni w połowie grudnia powrócili do Szlezwiagu, w zamiarze zajęcia wyspy Alsen. Wyspę tę oddziela

od lądu przesmyk dość szeroki; ale że w środku było miejsce gdzie konie mogły zgruntuwać i odpocząć, Czarniecki przeto, kazawszy z brzegu łódziami powyrąbywać, z wyczajem swoim na czele wojska puszcza się w pław. „Sam tedy wojewoda, mówi Pasek, przeżegnał się wprzód, w wodę; pułki za nim, których tylko trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierzątką pistolety, a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął naśrodek, stanął i kazał każdej chorągwi odpocząć, a potem dalej. Konie już były do pływania próbowane: który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć. Dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potem zima tęga ujęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew też każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi, widząc że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych też, co przybywali na pomoc, przetrzegli nasi konie, a dopiero w nich jako w dym.“

Po przeniesieniu statkami piechoty brandenburskiej, sprzymierzeni podstąpili pod Sonderburg, a dobywszy go we trzy dni, pociągnęli na Nordburg. Wzięcie tego miasta przez ubie-

żenie było niepodobieństwem, musiano więc czekać na armaty; ale gdy te przybyły, zrobiono wkrótce taki wyłom w murze, że przerażony komendant zdał się na łaskę. Tak tedy w przeciągu dni ośmiu wojska związkowe opanowały całą wyspę. Król duński, w ocenieniu ile dzielność Polaków przyczyniła się do tak szybkiego i świetnego powodzenia, przesłał Czarnieckiemu list własnoręczny, pełen pochlebnych wyrażań, który podajemy tu w tłumaczeniu z Rudawskiego:

*Jaśnie wielmożny szczerze nam miły
i ukochany panie!*

Doniesiono nam z największym uwielbieniem, że jw. pan w różnych potyczkach, a świeżo w zajęciu



ODZYSKANIE MIASTA KOLDYNGI PRZEZ STEFANA CZARNECKIEGO.

(Poług ilustracji J. Lewickiego do Pamiętników Paska.)

wiać się czołnami i trzema okrętami; lecz Szwedzi z brzegu przeciwnego gęsto ogniem działowym prażyli, i ledwie mały oddział austriacki zdołał gdzieś z boku wylądować. Ubolewał elektor przed Czarnieckim, że piechota tak cierpi, a jazda, dla braku statków, na drugą stronę dostać się nie może. Czarniecki wziął to za przymówkę; a że umiał doskonale obywać się bez czołn i mostów, jak tego już dawniej nieraz dawał dowody, więc przypadłszy do wojska, zawołał: „Mości panowie! Umieliśmy przez głębokie topiele i szerokie rzeki przepływać; spróbujmyż odnogi morza, a pokażmy w cudzym państwie, co umieją Polacy!“ To rzekłszy, każe jeźdźcom rozkulbaczyć konie, wnieść samym do łodzi, a konie wplaw puścić,

wyspy Alsen i położonych na niej warowni, między innymi trzykrotnie liczniejsze wojska nieprzyjacielskie gromiąc na czele swoich hufców, dałeś chwalebne i godne podziwienia dowody mężstwa prawdziwie bohaterkiego. Jako więc zawsze winszowaliśmy sobie obecności wodza tyła czynami słynnego i ocenili w zupełności przyjaźń braterską najjaśniejszego króla polskiego, gdy w pomoc orężowi naszemu przeznaczył jw. pana, tak też przychylną naszą królewską, do której zasługami swemi i u nas nabyłeś prawa, niniejszym okazać ci pragniemy, życząc z serca, aby sława jw. pana wszelakiego rodzaju powodzeniami nie tylko w ojczyźnie jego, lecz u postronnych także po całym rozgłoszonym świecie, szczególnie w tym kraju północnym coraz się bardziej szerzyła. Zresztą bądź jw. pan przekonany, że wyświadczony nam przysługę wdzięcznie i łaskawie z Bogiem i współczesnymi uznajemy.

Dan w zamku naszym królewskim w Kopenhadze, dnia 24 grudnia 1658 r.

JW. pana przychylny

Fryderyk król.

Tymczasem Szwedzi, trzymający twierdzę nadmorską Fryderycyą (Friedrichs-Odde) niedaleko Koldyngi, upatrzwszy sobie porę sposobną, napadli z nienacką na zostawioną tam załogę sprzymierzo-

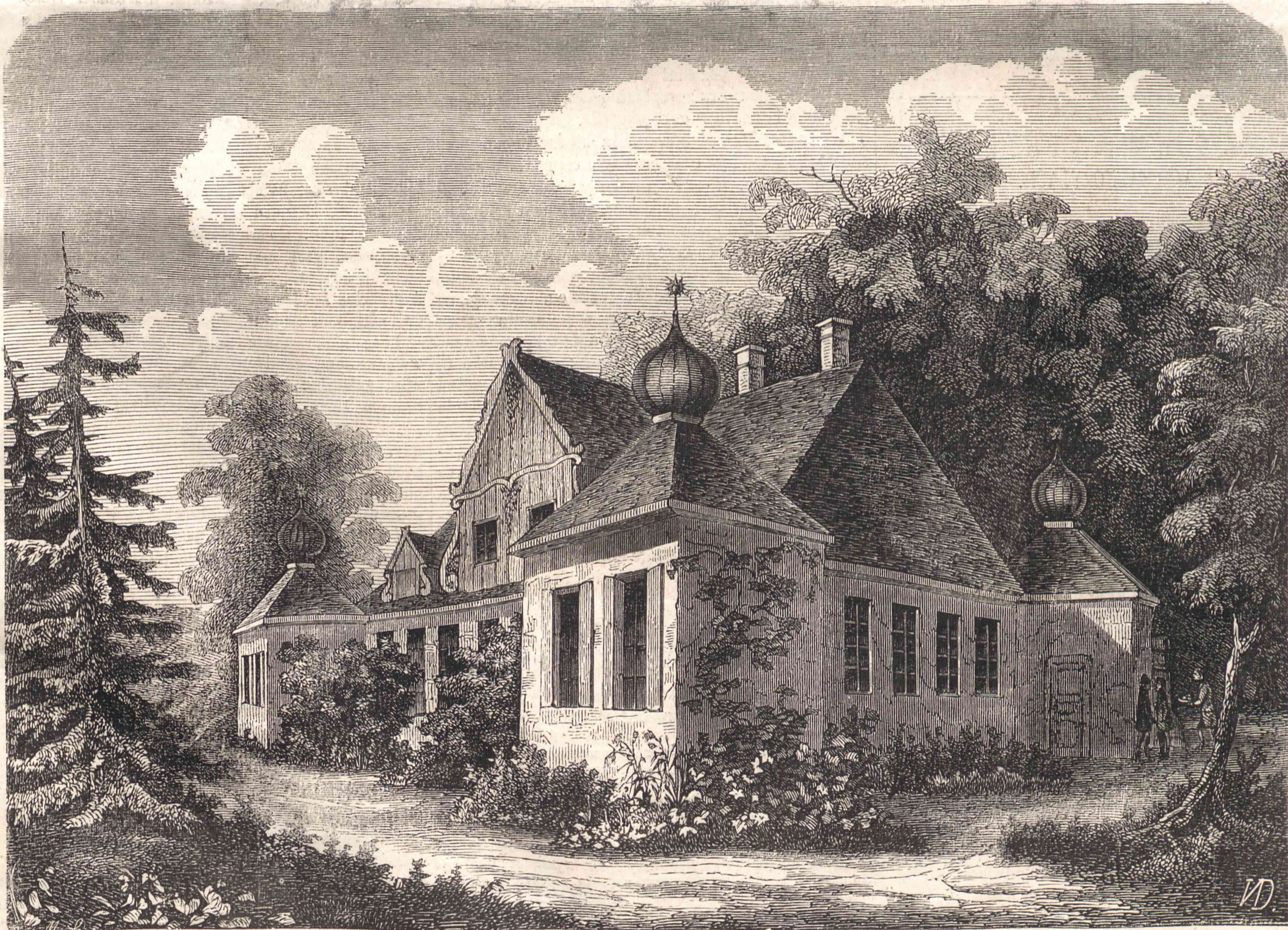
nie nabożeństwo, kiedy się ukazała jazda szwedzka. Najprzód dawały odpór przednie tylko straż, lecz wkrótce bitwa stała się ogólną: Polacy łamią nieprzyjaciół, puszczają się za nimi w pogoń i dopadają aż pod Koldyngę. Nie mieli nasi armat, ani żadnych przyborów oblężniczych. Czarniecki jednak, niewiele myśląc, każe chorągwiom i luźnej czeladzi porozdawać siekiery, zasłaniać piersi snopami słomy od wystrzałów z ręcznej broni i pędem rzucać się na wały. „Niechże was Bóg ma w swojej opiece i imię jego święte! — zawołał. Ruszajcież, a jak przez fosse przepawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić.“ — „Skorośmy tedy do fossy przyszli, opowiada Pasek, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fosse. Jaki taki, obaczyw-

szy pierwszych, także to uczynił, i wyrównali ową fosse tak, że już daleko lepiej było przepawiać się tym co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z pułku królewskiego; bo źle było z owymi snopami drapać



LAMUS W CZARNOŻYLACH.

nych i miasto odebrali. W samo Boże Narodzenie Polacy, stojący obozem pod miastem Aarhus w Jutlandyi (dokąd się Czarniecki po powrocie z wyspy Alsen na ląd stały zapędził), odprawiali właśnie zwy-



DWORZEC MODRZEWIOWY W CZARNOŻYLACH.

się do góry po śniegu na wał; kto jednak swój wyniosł, znajdował w nim kulę, co i do połowy nie przewierciała. Pomysł ten prosty, lecz trafny niezmiernie w ówczesnym stanie sztuki wojennej, wiele się przyczynił do szybkiego i niekrwawego zwycięstwa. Dopadłszy nasi pod mury, wrąbują się siekierami przez jakieś okienko zakratowane, a jednocześnie prawie bramą wpada do miasta podpułkownik Tetwin z dragonami. Załogę całą w pień wycięto i znaczną zabrano zdobycz; ale gdy zwycięzcy, rozbiwszy skład prochu, czapkami i chustkami, jak kto może, wynosić proch zaczynają, jeden z dragonów lontem od muszkietu zapuszcza przez nieostrożność ogień i wysadza w powietrze część zamku. Była tam między innymi wieża na samym rogu nad morzem, do której schronił się komendant ze starszyzną, prosząc o darowanie życia; lecz trafem nieszczęśliwym w tym właśnie miejscu zapaliły się prochy, i wieża, ze wszystkimi co się w niej znajdowały, wyleciała w powietrze. „Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, (powiada z przedziwną naiwnością nieoceniony nasz kronikarz-humorysta, p. Jan Chryzostom Pasek), aleć ich tam nie puszczono. Piotr św. przywarł zaraz fórtkę, mówiąc: A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancja ich do Pana Boga nieważna i niepotrzebna. W kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okupną, jako poganom. Pamiętacie, coście w sandomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzili, a przecie i tam Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić: wyrzuciły prochy pana Bobołę, szlachcica tamecznego, z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecie zdrowy został. I teraz strzelaliście gęsto, a niewieleście Polaków nabili; czemu? bo ich aniołowie strzegą, a was czarny. A toż macie jego usługę.“

Dalsze działania wojsk sprzymierzonych w Danii, jak: zdobycie twierdzy Fryderycy w Jutlandyi, usiłowana wyprawa na wyspę Fionią i t. p., nie wchodzi w zakres niniejszego artykułu. Mieliliśmy tylko zamiar opisać dwóch świetnych epizodów wojennych, których rocznica dwóchsetna druga w tym właśnie miesiącu przypada, a które szeroko po Europie rozniosły sławę oręża polskiego i imię naszego bohatera, co to wyrósł *nie z soli ani z roli, ale z tego co boli.*

L. J.

DWORZEC MODRZEWIOWY I LAMUS

W CZARNOŻYŁACH.

Z dniem każdym prawie zmniejsza się u nas liczba pamiątek pozostałych z odległej przeszłości; ni-
kną zamki, kościoły, pałace; w gruzy rozsypują się warowne baszty, i ledwie cegieł kilka, ledwie wzgórek darnią i mchem zarosły, świadczy o zgasłej tu potędze, świetności i władzy. Próżno gorliwi starożytnicy z pozostałych szczątków odgadują całość i w uczonych rozprawach starają się uobecnić nam dawno zaginione obrazy. Daremna praca! Imaginacja nie zastąpi rzeczywistości, a zbliżone podobieństwo nie wystarcza więcej ścisłym wymaganiom. Jeżeli więc czasami ujrzemy niespodzianie kamienne baszty starego zamczyska, dumnie wznoszące pleśnią czasu pokryte czoło; jeżeli ujrzemy starożytny dworzec z modrzewiowymi ścianami, do których przyrosły wspomnienia upłynionych wieków, ściany, wśród których żyły, myślały i działały posągowe postacie pra-ojców naszych: z jakąż świątobliwą pokorą stąpamy pod czerniałem sklepieniem, po dębowej posadzce ich nogami deptanej, z jakim uczuciem dotykamy sprzętów, których oni dotykali, i wodzimy okiem po pustych murach, na których zawieszali rycerski swój rynsztunek, a dziś ledwie świecących bladym wizeunkiem marsowego ich oblicza!!!? Trudno określić uczucia, trudno zdać z nich sprawę, w duszę wieje rzewność, tęsknota, oko mimowoli łzą napływa.

Na trakcie pomiędzy Wielunem a Sieradzem, ciągnie się długim rzędem wieś Czarnożyły z dworem i kościołem, własność rodziny hr. Brzostowskich.

Oddzielony od traktu fossą murowaną, opatrzoną dwiema bramami, ukryty w cieniu odwiecznych kasztanów, mając przed sobą obszerny dziedziniec, stoi wielki dworzec czarnożyłski, w długi czworokąt zbudowany z modrzewia. Na czterech jego rogach wno-

szą się równie czworokątne przystawki, w kształcie jakoby bastyoników, równiej jednak ze ścianami dworca wysokości, a każda z nich pokryta osobnym daskiem, uwieńczonym kopułką w stylu byzantyjskim, gontami krytą. Nad samym dworcem dach wysoki, także gontami kryty, pośrodku którego z obudwóch stron wznoszą się wspaniałe facyaty, bogatą rzeźbą na drzewie ozdobione. Ogół prześliczny, powabny, technący wykwintnym smakiem, lecz zarazem prostotą i majestatyczną powagą.

Dworzec ten, wystawiony w połowie XV stulecia, przetrwał bez widocznego uszkodzenia do obecnych czasów. Jest to gniazdo starożytnej rodziny Strzemińczyków, którzy w późniejszym czasie przyjęli nazwę Brzostowskich. Ród ten dostarczał po wszystkie czasy krajowi ludzi dzielnego ramienia i niezłomnej cnoty. Pełni poświęcenia dla sprawy ogólnej, surowi pod domową strzechą, słusznie też nazywani byli mężami niezłomnego jako ich miecze charakteru.

Jest jedno podanie w starych familijnych dokumentach, które wybornie charakteryzuje ówczesną władzę głowy familii i żelazną wolę tamtoczesnych ludzi.

Za czasów Jagiełły, jeden z Brzostowskich, imieniem Władysław, starosta ziemi rudzkiej, zawarł umowę z hrabią Tarło, panem na Działoszynie, iż mu swą jedyną córkę odda w małżeństwo. Syn Brzostowskiego, a brat narzeczonej, znając skażony charakter Tarły, jego niecne czyny i rozpasane na wszystko bezwstyd namiętności, stawiał się śmiało przed swym rodzicem i w wyrazach pełnych energii lecz i uszanowania oświadczył, iż związku tego nie dopuści. Brzostowski zaważał się na chwilę, lecz Tarło tyle umiał intrygami działać, że podburzony przez niego teść przyszedł, zuchwałego syna, za targnięcie się na władzę ojcowską, w lamusie w podziemiach osadził i głodem zamorzył. Lamus ten do tej chwili istnieje, tak jak w rysunku dołączonym jest wystawiony. Zbudowany z cegły i kamienia, opatrzonego strzelnicami, był skarbcem familijnym i miejscem schronienia w razie napadu, a obszernie jego podziemia mieściły składy prochu, kul i kilka antałów starego węgryna. W tych to podziemiach zakończył się dramat rodzinny, który maluje żywo i jaskrawo obyczaje przodków naszych, ich dumę, ich władzę i żelazną wolę.

Dworzec cały pozostał nietknięty. Facyata tylko zczerniała, jaktwarz zgrzybiałego starca, ale trzyma się prosto i śmiało w górę pogląda.

Wewnątrz drzwi dębowe, starannie fugowane, pozostały też same, lecz czas je swym ciemnym przeciągnął pokostem. Posadzka dębowa, gęsto wielkimi gwoździami nabijana; sufit z belkowaniem i potężne kominy w kilku pokojach, przy których nieraz z kielichem w rękę ogrzewano się zapewne po dalekiej drodze lub zimowych łowach; komnaty wysokie, obszerne; okna ocienione rozłożystemi drzewy, co wszystkie przedmioty trzymają w półcieniu, który tak dobrze przystoi ciszy, przerywanej tylko monotonym ruchem starożytnego zegara: — wszystko to zlewa się w jeden obraz harmonijny. Cisza ta, pełna tajemnic, owłada od razu całą duszę przychodnia i przenosi go w dawno upłynione czasy. Cztery wieki, które prześliznęły się po czarnożyłskim dworcu, odcisnęły na nim niestarte piętno smętności i powagi: nie można patrzeć na niego bez uszanowania, nie można wejść bez wzruszenia. Jest to święty zabytek, spuścizna po pradziadach naszych, która dzięki obecnemu dziedzicowi, religijnie została nam dochowana, jako pomnik pełen wspomnień drogiej dla serca każdego Polaka.

Nap. D.

SŁÓWKO O ZAMIŁOWANIU U NAS W MUZYCE. (*)

Od pewnego czasu dają się u nas słyszeć głosy, powstające na zbytne rozmiłowanie się ogółu mie-

(*) Podzielając w zupełności zdanie szanownego autora artykułu, co do znaczenia muzyki, jak w ogóle wszystkich sztuk pięknych, w dziejach cywilizacji narodów, nadmieniamy tylko iż głosy podnoszące się od pewnego czasu tu i owdzie przeciw zbytceznemu u nas rozmuzykalnieniu, nie zmierzają wcale do poniżenia muzyki, w szlachetnym i poważnym znaczeniu tego wyrazu, lecz karzą tylko do śmieszności nieraz posuwaną *muzykomanią*, dziecinny *dyletantyzm*, czy jak tam kto nazwać zechce wybryki tego rodzaju, — czyli że nie powstają przeciw sztuce, lecz owszem przeciw jej *skażeniu* i *spowiewianiu*. Tak przynajmniej my rzecz tę rozumiemy, i tak też tłumaczyć należy satyryczny wierszyk z rysunkiem, zamieszczony w Nrze 58 naszego Tygodnika. (Przyp. red.)

szkańców kraju w muzyce. Niektórzy nawet ludzie zapłoneli chęcią zwalczania tej, jak ją nazywają, gorączki muzycznej, mogącej w ich przekonaniu zdennerwować, zniewieścić, roztkliwić naród. a tym sposobem zatracić w nim tę dzielność i energią charakteru, jaka była niegdyś jedną z głównych cech jego. O ile więc sprawiedliwe i stosowne są wszystkie tego rodzaju ataki przeciwko muzykalności ogółu wymierzone, z następnych słów kilku zaraz się przekonamy.

Wiadomo, że im który naród wyżej stoi pod względem cywilizacji i umysłowego wykształcenia, o tyle skwapliwiej zajmuje się uprawą literatury i sztuk pięknych. Jeżeli z łona swego nie wydobędzie geniuszów promieniających blaskiem chwały, zdolnych samodzielnie dźwigać je i popychać, wówczas przynajmniej otacza je szacunkiem i miłością, pielęgnuje i uprawia skrzętnie, gdyż sztuki piękne są jednym z najpożądanych owoców cywilizacji.

Włochy były kolébką sztuk pięknych, a mianowicie nowożytnej muzyki; chciecie wiedzieć jak ona tam wzrastała, jak dojrzewała, jak coraz nadobniejszą szata się ozdabiała, aż przyszła do pewnej w treści i formie doskonałości? — przypatrzcie się zblizka postępowi cywilizacji od epoki odrodzenia w tym kraju; przypatrzcie się historycznemu tworzeniu i przeobrażaniu się pierwiastków duchowych jego mieszkańców; podziwiajcie owe cudowne zdobycze na polu sztuk i umiejętności co chwila dokonywane, a przekonacie się że w dziedzinie umysłowości jedno z drugiego logicznie wypływa, że wszystko w niej uzupełnia się i wspiera, że gdzie oświata, tam cywilizacja, gdzie nauki, tam i sztuki kwitnąć muszą. Pogasły oddawna pierwszorzędne pochodnie, z takim blaskiem i chwałą innym sztukom przyświecające; jedna tylko muzyka, najmłodsza z nich i najbardziej duchowa w swjej istności, nie przestała ciągle dążyć naprzód, czarującą swęj idealności potęgą ogarniając całe niemal społeczeństwo, z pokolenia na pokolenie coraz silniejszy wpływ wywierając; aż w całych Włoszech powstały przybytki wyłącznie tej sztuce poświęcone. Pozakładano szkoły, konserwatoria, akademie, w których z zapalem uczono i kształcono się w zasadach muzyki, wzbogacanej coraz nowymi zdobyczami. Niezwykłe owo rozmiłowanie się w tej sztuce narodu włoskiego, stało się nawet w ostatnich czasach powodem sarkazmów złośliwych i krzywdzących, ze strony niektórych mężów pióra i stanu. Wyśmiewano się z Włochów, że u nich muzyka stała się głównym elementem bytu, że zniewieścili, że zdennerwowani i rozmiękczeni dźwiękami słodkiej i tkliwej harmonii, tylko się pieścżą utworami licznych kompozytorów; że ciż kompozytorowie, jak: Cimarosa, Rossini, Bellini i Donizetti, są dla nich jedynymi mężami stanu. Co więcej, znalazły się nawet głosy wymowne, grzmiąco zwiastujące z trybuny francuskiej światu, iż *les Italiens ne se battent pas!* A przecież świeże wypadki najzupełniejszy fałsz tym twierdzeniom zadają.

Lecz może powie niejeden, iż Włosi są narodem wyjątkowym, zrodzonym w cieplejszym klimacie, więc żywszem i gorętszem poczuciem piękna obdarzonym; że są narodem artystycznym *par excellence* i t. p. Przypatrzmy się więc narodom innym, w odmiennych warunkach klimatycznego i materialnego bytu stojącym, u których sztuki piękne, lubo nie na pierwszym planie wychowania narodowego postawione, są przecież uprawiane i pielęgnowane z tém rozmyślnem i szczerem zamiłowaniem, jakie w ogóle cechuje ludy na wysokim w cywilizacji stanowisku się znajdujące.

Francuzów na przykład, nikt zapewne o zniewieścianość i brak mężkości nie posądzi. Jeżeli u nich przemysł, nauki ścisłe, sztuki piękne niezmiernie wysoko stoją, toć przecie nie pozbawia ich wcale tej energii, jaką objawiają w życiu politycznym. Że znamienicy ich mężowie stanu w sztukach pięknych, a więc i w muzyce, mianowicie w zastosowaniu jej do geniuszu narodowego, nietylko szkodliwości nie upatrywali, ale owszem, widzieli w niej jeden więcej bodziec do swobodnego rozwoju, dowód, że pierwsza myśl założenia konserwatorium, w którymby naród systematycznie i naukowo mógł się w muzyce kształcić, wyszła w epoce konwulsyjnych, strasznych walk socjalnych i politycznych. Odtąd sztuka ta, pielęgnowana i uprawiana na równi prawie ze ścisłymi umiejętnościami, stała się koniecznością i potrzebą w społecznym wychowaniu Francuzów. Pomijam Paryż, jako ognisko

wszelkiego ruchu umysłowego; ale dzisiaj niema miasta we Francji, gdzieby jęj nauczaniu nie poświęcano większych lub mniejszych usiłowań. Towarzystwa filharmonijne, mające za główny cel uprawianie muzyki na obszerną skalę, wszędzie się znajdują; we wszystkich nawet szkółkach elementarnych i rzemieślniczych uczą jęj, w przekonaniu że muzyka, czy to w formie pieśni ludowej, światowej lub religijnej treści, czy w zbiorowym swym składzie, bezpośrednio działa na duszę, podnosi umysł, do skrucy skłania serce, zagrzewa wspomnieniami wielkich czynów w formie pieśni ujętych i łagodzi szorstkość obyczajów. A owe *orfeony*, powstałe na całej przestrzeni kraju tego za naszję już pamięci, czyż mało przyczyniają się do poprawy i uszlachetnienia niezmiernie licznęj klasy ubogięj, rzemieślniczej młodzieży? Czy wiecie, o nierozważni u nas antagoniści muzyki, jak zbawienne skutki Francya już zbiera pod względem moralnym z pozaprowadzanych w imię tęj sztuki instytucyj? Czytajcie liczne o tęg sprawozdania znakomitych pisarzy; a wtedy, jeżeli dbacie o pomyślność i dobro uboższych na duchu i mieniu, skazanych na ciężką i nieustanną pracę współziomków waszych, zachęcać owszém będziecie do naśladowania tak zbawionego przykładu. Rozumny i dbały o dobro moralne rząd francuzki, hojnie wynagradza zasługi ludzi, co życie swoje tęg sprawie poświęcili; za pośrednictwem bowiem muzyki łączą się bratnim węzłem narody, rozdzielone dotąd tradycyjną niechęcią. Trzy tysiące orfeonistów, odwiedzających w czerwcu roku bieżącego Anglików w Londynie, w imieniu cywilizacji i oświaty pozdrawiający ich pieśnią zgodną, wielką, narodową, jest trzema tysiącami wysłańców, unoszących napowrót do własnego kraju zaród najtrwalszego jakie być może na świecie przymierza, przymierza opartego na podstawie wspólności cywilizacyjnych interesów, miłości i szacunku międzynarodowego!

Mamże przytoczyć jak muzyka cenioną i pielęgowaną jest w Belgii, Anglii, Niemczech, w Szwecyi nawet? Znajduję to zbyt cennym; zbyt bowiem wiele zabrałoby to miejsca i narażałoby mię na ciągle powtarzanie się; a zresztą, któż o tęg nie wie? I z tego jednak com powiedział aż nadto już jest widocznem, że muzyka nie staje na przeszkodzie ani do wewnętrznego rozwoju gospodarstwa narodowego, ani do dobrego bytu materialnego; owszém, kraje powyżej wzmiankowane niesłychanie nas w tęg wszystkim wyprzedziły. Zdażamy wprawdzie za niemi, ale chromiąc, bo jesteśmy jeszcze pełni przesądów, uprzedzeń, mających swoje źródło w źle zrozumianej miłości własnej; bo stawiamy się najczęściej w fałszywym względem innych położeniu, przypisując sobie, nie wiedzieć dlaczego, jakąś wyższość fizyczną, rassową nad innymi; bo nieraz gardzimy tęg, co właśnie naśladować powinniśmy. Ogół zachodniej Europy mamy za zgniły, strupieszwały moralnie, a siebie uważać lubimy za jakoweś wyjątkowe, moralnie doskonalsze istoty. Cóż nas upoważnia do takiej zarozumiałości? Zasługi przodków naszych? Ależ to niedosyć, a nawet tęg gorzej, bo czémże my w porównaniu do nich jesteśmy? Czyż postępowaniem naszym, często niedbałym albo potępienia godnym, nie zrywamy własną ręką tęg historycznej nici, wiążącej nas jeszcze z przeszłością? czyż oni, sądząc nas po mowie i uczynkach, nie mieliby najslusniejszego prawa wyprzeć się nas?!

Wszystko na tym świecie złączone jest jakimś ogniwem solidarności; prawa fizyczne natury, są niejako zwierciadłem praw świata duchowego. Jak tam, tak i tu niema próżni, jedno drugie wypełnia, wspomaga, zastępuje, jedno z drugiego się rozwija. Któż może powiedzieć że w sferach świata fizycznego i moralnego jedna rzecz obejdzie się bez drugiej? Prawa harmonii są zawsze jedne. Więc przykładając się z całej siły do nauk ścisłych, nie zaniedbujmy i sztuk pięknych, bo one, kraszac uroczeni barwy swemi niezmierną krainę wiedzy ludzkiej, są jęj ozdoba, jęj kwiatami.

W dawnęj Polsce instynktownie to pojmowano; ale z powodów wyjątkowego geograficznego położenia, naród nasz, zmuszony wieść życie rycerskie, nie mógł dostatecznie sztukom się oddawać. Jedna tylko muzyka więcej go zajmowała, potęgując się w formie pieśni religijnej lub światowej. Mamy wiele dowodów, iż w czasach złotych naszęj literatury muzyka niepoślednie także miejsce zajmowała. W akademii

krakowskięj istniała katedra tęg sztuki; najznamienitsi mężowie, jak: Sebastian Fulsztyński, Szamotulski, Marcin Kromer, Szym. Starowski i wielu innych, szeroko o nięj się rozpisywali, wydając osobne, specjalne dzieła. Niektórzy nasi królowie, zajmując się sami muzyką, cenili i nagradzali utalentowanych muzyków. Wielu dawnych magnatów utrzymywało z ogromnym kosztem nadworne orkiestry, sprowadzając do nich najslawniejszych z zagranicy artystów, ażeby umysł strudzony i spracowany w ważnych sprawach kraju, ukrzepić i odświeżyć w zaciszu domowego ogniska. Dwory ówczesnych możnych panów, zastępowały w części publiczne naukowe zakłady. W miarę dopięro jak zamożność upadała, muzyka zbiorowa także cofać się zaczęła pod cienie obywatelstwa życia, za ledwie w formie piosenki się objawiając. Żyją jeszcze ludzie, co pamiętają owe nadworne orkiestry, tak niegdys liczne w rozmaitych prowincjach naszego kraju; dziś one pozniakały, świadczac tylko wspomnieniami o zamiłowaniu niegdys ojców naszych do muzyki. Przed laty jeszcze kilkunastu łatwo było spotkać w kraju ludzi bogatszych, z upodobaniem ją uprawiających. W Warszawie także pamiętamy owych amatorów, co chwile wolne od bardzo ważnych nieraz obowiązków społecznych na muzyce spędzali; amatorskie kwartety nie były jeszcze wtedy taką osobliwością jak obecnie. Wszystko to jakoś ustało; dawni amatorowie klasycznej muzyki powymierali, z nowych mało kto przybywa, i Warszawa za ledwie na jeden amatorski kwartet zdobyć się teraz potrafi. Zdaje się więc że to już niemały dowód braku właśnie zamiłowania do muzyki w naszym kraju.

Powiecie mi może, iż dawnięj nie włoczyło się tylu wirtuozów co teraz, że tak wielkięj liczby koncertów nie bywało. — Prawda. Ależ miły Boże! wejdźcie choć raz do sali koncertowej, a przekonacie się, że publiczność nie bywa na nich zgoła, jeżeli przez jakie nadzwyczajne uboczne środki nie zostanie pościągnięta. Dawnięj, skoro który z głośniejszych w Europie artystów zawitał do naszego miasta, tłumami spieszono zachwycać się grą jego; bilety w oka mgnieniu rozkupywano, tłoczono się w przepelnionej od słuchaczy sali. Dzisiaj najznakomitsi z nich, jak: Vieuxtemps, Servais i t. p., ogłaszają w salach reductowych koncerta, i zmuszeni są grać przed pustymi prawie ławkami, że nie wspominać już o innych mniejszjęj sławy wirtuozach, których nikt słuchać nie chce. Czyż i to także ma dowodzić rozmiłowania się naszego w muzyce?

Przed laty dwudziestu kilku, staraniem możnego wówczas amatora Cichockiego, zaprowadzone zostały w resursie kupieckiej stałe tygodniowe muzyczne wieczory, ze współdziałaniem artystów i utalentowanych amatorów. Józef Krogulski zawiązał, chlube przynoszący zwolennikom sztuki, chór pijarski, z kilkudziesięciu osób złożony. U księży augustyanów także w niedziele i święta uroczyste, amatorowie, pod przewodnictwem pułkownika Brauna, schodzili się gorliwie, dla wykonywania zbiorowej muzyki. W cöz się to wszystko obróciło? Zielone stoliki oddawna już wypłoszyły z murów resursy muzykę; chór pijarski, z taką pracą i poświęceniem przez Krogulskiego założony, rozpadł się i dziś za ledwie cień jego istnieje; u augustyanów śladu już nawet dawnych usiłowań Brauna nie zostało.

Dobrzyński, znany zaszczytnie kompozytor, powziął myśl wydania za jaknajprzystępniejszą cenę, wspaniałego swego dzieła, osnutego na tle nabożnej pieśni *Święty Boże*, na głosy, z orkiestrą i organami. W tym celu ogłosił prenumeratę, licząc na zamiłowanie u nas do muzyki tylu niby chętnych do uprawiania jęj w kościołach, (gdyż żaden z nakładców znających lepiej publiczność naszą nie chciał się tego podjąć). Czy wiecie ilu się zgosiło prenumeratorów? — przykro wyznać, *czterech!* licząc w to Warszawę i ogół całego kraju.

Moniuszko, ów ulubiony dzisiaj twórca *Halki* i innych oper, także pragnął przysłużyć się współziomkom dziełem czysto religijnem. Wydał tedy własnym nakładem *Mszę* na dwa głosy, prostotą i pięknoscią stylu zasługującą na upowszechnienie; ale i on niewiele lepiej wyszedł od Dobrzyńskiego.

Od lat kilku wychodzi w Warszawie pismo wyłącznie poświęcone rzeczom muzycznym, pod redakcją Józefa Sikorskiego. Może myślicie iż z ujmą innych dzienników zbyt cennie jest czytane, albo że liczy wie-

lu prenumeratorów? Przeciwnie, tylko żelazna praca i wytrwałość redaktora utrzymuje je przy życiu. A szanowni antagoniści muzyki wołają z trwogą, że Warszawa, że kraj cały rozmiłował się straszliwie w muzyce!

Gdzież więc szukać tego niebezpiecznego niby dla nas rozmiłowania? Może pozaprowadzano, z krzywdą dla innych umiejętności, towarzystwa filharmonijne? Gdzie tam. W rządzie miast europejskich, jedna Warszawa nie może się na takowe zdobyć. Nawet Lwów, Kraków, dawno już ją w tym względzie wyprzedziły. Istnieje wprawdzie u nas od lat dwudziestu towarzystwo, ale li tylko w celu filantropijnym, zawiązane przez zacnych amatorów miłujących istotnie sztukę i pragnących dopomóc materialnie podupadłym artystom, zapewnić jakakolwiek opiekę wdowom i sierotom po nich. Czyż to wszystko nie dowodzi najwyraźnięj, że jeżeli było u nas kiedyś zamiłowanie do muzyki, to dzisiaj owszém na zupełny brak takowego raczję narzekać można? Pozory tylko uwodzą i w błąd wielu wprowadzają; bo niedołączne upowszechnianie się nauki grania na fortepianie, tudzież nieudolne śpiewanie aryj włoskich na salonowy popis, jest raczję dowodem skażenia smaku ogólnego i zubożnienia dla sztuki.

Z czegóż więc biorą pozór antagoniści muzyki do wysmiewania się z nięj, do narzekania i szydzenia? Oto z owych, zapewne licznych aż do znudzenia, opisów koncertowych, jakimi prowincjonalni korespondenci zaopatrują nasze pisma peryodyczne. Więc pozory biorąc za istotę rzeczy, niesłusznie obwiniają sztukę, iż się szeroko, z ujmą innych potrzeb, po kraju rozpięra. Może zresztą muzyczna agitacja, pobudzająca w początkach bieżącego roku do zbierania składek na rzecz mającego się wznieść Instytutu, tak im szkodliwą się zdawała.

O wpływie tego zakładu na dobro sztuki i o korzyściach jakie przynieść ma w przyszłości, przesądzać teraz nie można; to zależy od wyboru nauczycieli, od ogólnego kierunku jaki mu się nada. Zresztą najlepsze nawet zamiary nie na wiele się przydadzą, jeżeli prawdziwych talentów nie będzie; z piasku biczka nie ukręci. Lecz spodziewać się należy iż przy dobrém prowadzeniu, zdoła on zaszcześcić młodzieży chęć do pracy, szacunek dla sztuki; że ukształci ją z czasem na dobrych i sumiennych artystów, a rozwijając istotne do muzyki zamiłowanie, położy w końcu tamę niecnemu włóczęgostwu i szarlataneryi błakających się po kraju pseudo-wirtuozów, tęg istotnej pladze dzisiejszjęj społeczności naszęj.

Maurycy Karasowski.

ZŁOTA BRAMA W KIJOWIE.

Do rzadkich zabytków starożytności z odległych czasów należą szczątki łramy w Kijowie zwanęj *złotą*, jak się zdaje od znajdującego się na nięj kiedyś dachu złotego.

Wiąże się ona z dziejami największego z królów polskich, Bolesława Chrobrego. W wyprawie przeciw Jarosławowi, gdy nad brzegami Bugu rozbił jego chorągwie, szedł w zwyczajnym pochodzie r. 1018 do Kijowa i obległ ten gród wielki i zamożny, sławny czterystą cerkwiemi i ogromem swoim. Niechcąc wspaniałego miasta niszczyć, otoczył je dookoła, ażeby głodem zmusić do poddania; gdy jednakże uporczywa obrona Kijowian zawiodła oczekiwanie Bolesława, dał znak do szturm. Zburzono mury, spalono przedmieścia i gród poddać się musiał.

Król, mając świetne przed sobą hufce rycerstwa, wjechał konno. Na drodze jego stała owa brama złota. Na jęj widok Bolesław przypuszcza w pędzie rumaka i z całym zamachem szablą uderza w jęj mury. Od silnego cięcia o twardą cegłę, szabla się wyszczerbiła na ostrzu, i przybrała nazwę *szcherbca*. Odtąd przechowywano ją na pamiątkę w skarbcu królewskim w Krakowie, pomiędzy insygniami monarszemi. Przy obrzędzie koronacyjnym następni królowie polscy przypasywali szcherbiec do boku swego, jako godło najwyższjęj władzy. Lud polski drogą tęg pamiątkę taką otaczał cześcią, iż przeszło w podanie narodowe, jakoby Bolesław Chrobry szablę tęg od anioła otrzymał.

We dwadzieścia lat późnięj, Jarosław na złotęj bramie zbudował cerkiew pod wezwaniem Świętego zwiastowania.

Pierwszy cios jakiego brama złota doznała, był z ręki wodza Połowców Boniaka, który z niej obdarł dach złoty. Pozostawiona w zanedbaniu, niszczała pod wpływem czasu. Ale silna budowa, wyborna cegła i cement oparły się działaniu tyłu wieków. Pozostały dotąd dwie grube ściany bramy złotój, które podtrzymywały sklepienie, dźwigające na sobie cerkiew Jarosława. Sklepienia te istniały jeszcze do połowy przeszłego wieku.

Dla ich zachowania, zbudowano drewniane bramy. Gdy te następnie spróchniały i groziły zawaleniem, w r. 1743 polecono takowe rozebrać, a dla zachowania szczątków złotój bramy, posypać je ziemią tak wewnątrz jak zewnątrz, otoczyć wałem, a w ich miejsce drugą z kamienia bramę zbudować.

Tak dotrwały w ziemieszki murów złotój bramy. W r. 1832 rozkopano ziemię, wał zniesiono, a gdy wyszły ściany owój bramy, dano od wierzchu żelazne pręty między niemi, a od dołu wzmocniono je ceglanymi skarpami.

Do r. 1699 zachowywał się na złotój bramie starożytny obraz Bogarodzicy kazańskiej, który później przeniesionym zostało do staro-kijowskiej troickiej cerkwi, jak widać z następnego napisu na pomienionym obrazie:

„Obraz przenajświętszej Bogarodzicy, od złotój bramy przeniesiony. Lat od Adama 7207, od narodzenia Chrystusa 1699, października 20 dnia.“

Obraz ten w wielkiej czci zostawał u mieszkańców Kijowa. Kronikarz tego grodu wyraża, że po umieszczeniu go na złotój bramie, „zawsze ztąd radość i błogie wieści płynęły, za powodem modlitw przenajświętszej Bogarodzicy i św. Archanioła Gabryela, posłannika radości a szczęścia.“

Rysunek do załączonego tu drzeworytu udzielony nam został przez p. Romana Raczyńskiego, który wspólnie z p. Kamilem de Bellier wydawać zamierza „Album malownicze Kijowa.“ Zajmująca ta publikacja składa się ma z trzydziestu widoków miasta, rysowanych na kamieniu, z dołączeniem tekstu historycznego w dwóch językach, polskim i francuzkim.

K. Wł. W.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

(Dokończenie).

P. Simmler, na którego prace od lat kilku z zajęciem patrzymy, śledząc rozwijanie się w nich jego talentu, notując z przyjemnością każdy krok naprzód zrobiony, wystawieniem dwóch dzieł dzisiejszych przekonywa dowodnie, co zrobić mogą niezmiernie usiłowania, poświęcone prawdziwemu doskonaleniu się, przy szczerem zamiłowaniu sztuki; każdy też

jego nowy utwór wskazuje nowe postępy, zdobyte tryumfy w trudnym zawodzie. Dawno nie widzieliśmy rzeczy tak prawdziwie pięknej, jak jest głowa w jego *portrecie damy*, w całej figurze i naturalnej wielkości malowanym. Nie samém wierném trzymaniem się natury, sumienném wystudowaniem, pra-

w pracy takiego artysty jak p. S. ręce lepiej zdecydowane i tło więcej harmonii z głową mające.

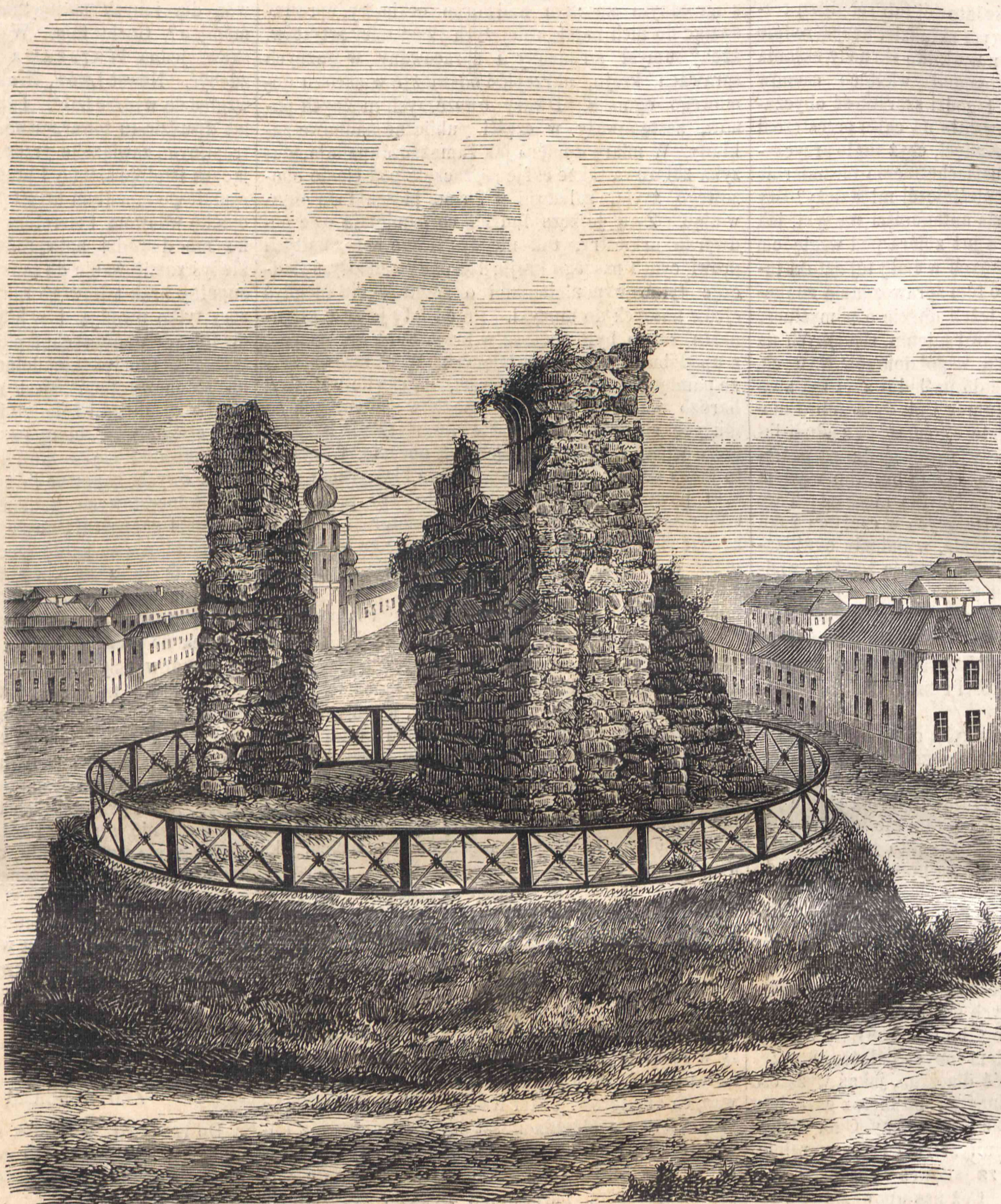
Drugi jego wielki obraz (figury naturalnej wielkości) przedstawia *Zgon Barbary Radziwiłłówny*. Przyjrzyjmy mu się bliżej, aby tym czytelnikom, którzy naocześnie znakomitego utworu tego widzieć nie mogli,

dać chociaż słabe wyobrażenie o ogólnym jego układzie. W królewskiej komnacie, na łożu bogato osłoniętym ciężkimi kotarami, z głową bezwładnie opartą o poduszkę powleczonej przezroczy stemi koronkami, leży zmarła, młoda i tak uroczo powabna Barbara. Piękna główka, zachowująca jeszcze, pomimo piętna śmierci poprzedzonej ciężką i bolesną chorobą, dosyć wdzięku, pochyliła się na bok; lewa ręka na piersiach trzymana zastygła w ostatnim, słabym ruchu, prawa obwisła bezwładnie. Obok martwych zwłok, Zygmunt, siedzący na kraju łożka, wpatruje się z niemym żalem w drogie oblicze, po którym niedługo smutna pamięć tylko zostanie. Silnie zaciśnięte, splecione palce i czoło mocnym ruchem brwi ściągnięte, każą przypuszczać iż hamuje uczucie, by nie wybuchnąć z całą rozpaczą, jaka zapewne serce jego szarpać musi. Jedno kolano zgięte i wyrwijająca się łza z oka zdaje się zapowiadać, iż lada chwila nie powstrzyma gwałtownej boleści, że rzuci się na kolana i z całym wylewem długo tamowanego żalu usta przycisnie do zimnej ręki, obleje ją gorącymi łzami. Nikogo zresztą więcej w pokoju niema, scena dramatu odbywa się sam na sam; resztę obrazu zapełniają

szczegóły akcesoryjne: krzesło bogate, przepyszny płaszcz królewski, z wielkim smakiem rzucony i odany, w końcu srebrna kadzielnica. Taki jest ogólny układ całości, który opowiedzieć można; lecz jak dać wyobrażenie słowami samemi o bogatym i umiejętnym malowaniu, które przeważającym jest przymiotem obrazu? Aby doznać wrażenia, potrzeba go zobaczyć koniecznie. Leżąca umarła ma w sobie tyle przejmującej prawdy śmierci, otaczające ją przedmioty skończone są z takim wiernym opracowaniem najdrobniejszych szczegółów, odanych z ludzłą plastycznością, iż wszystko to każe zapominać, że się stoi przed obrazem, a wywołuje w widzu wszystkie wzruszenia dotykanej rzeczywistości.

Pomiędzy niewiściami postaciami naszej historii trudno znaleźć popularniejszej, jak królowa Barbara; jej życie, prześladowania i cierpienia pełne, tajemnicza miłość dla niej króla, młodość i piękność, wszystko to są powody dość romantyczne, by przejść w legendę, by żyć w pamięci powszechnej. Barbarę znają wszyscy co się uczyli i nie uczyli historii, ludzie wszelkiego stanu i wieku; więc gdy ją ujrano na łożu skonania, z zadziwiającą prawdą śmierci oddaną, publiczność została wstrząśniętą do głębi, jak istotnym widokiem zgonu znaniej i ukochanej of

(Ob. Do.



RUINY ZŁOTÉJ BRAMY W KIJOWIE.

wdą koloru i miękkością modelowania ona tak nas zachwyciła; jest w niej, oprócz tych wszystkich zalet koniecznych, tyle istotnego życia, tyle ożywiającego tchnienia artysty, iż dla nas jest nietylko pierwszorzędny portret, ale ma wartość obrazu. Temi to przymiotami przewyższa wszystkie znane nam portrety p. S. Przyjemniejby nam jednak było znaleźć



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 63. Młodzież na balach źle tańczy, a zuchowato pali papirosy, zajada i trąbi na hutelkach.

Zgad to często można było spotkać pomiędzy patrzącymi głębokie westchnienie, łzę ukradkiem otartą i to uroczyste milczenie, którego nikt z widzów nie śmiał przerywać, by nie zmącić przejmującego uczucia, jakiego doznaje się znalazłszy się oko w oko ze śmiercią. To powszechne wrażenie wywarłe na publiczności, ten ogólny poklask, jest zapewne dla artysty największą pociechą, najmilszą za usiłowania jego nagrodą, która rozbudzić w nim musi gorętszą jeszcze miłość dla sztuki, silniejsze dążności do postępu coraz wyższego. P. Simmler zasłużył istotnie na wdzięczność, iż takim dziełem, posiadającym tyle piękności artystycznych, wzbogacił dziedzinę polskiego malarstwa; rozbudził nim nawet w obojętnych chęć zainteresowania się tym, co się dzieje w świecie sztuki naszej; dał przykład i popęd kolegom, którzy odtąd widząc przełamaną oziębłość ogółu, podwoić będą mogli starania o utrzymanie przez znakomitsze rzeczy zawsze jednakowego natężenia ciekawości i rozbudzonego zajęcia publiczności naszej.

Gdyby teraz, na zakończenie przeglądu naszego, wymagano po nas wyznania, jakie wrażenie powyższe dzieło w nas wywołało, musielibyśmy przyznać, iż nie mając prawa nakładania więzów na imaginację kompozytora, nie możemy robić mu zarzutów, dlaczego tak a nie inaczej pojął tę uroczystą i dramatyczną scenę. My jednak, indywidualnie wnikając w ową chwilę, chętnie dopatrzyćbyśmy w niej pragnęli więcej ducha religijno-chrześcijańskiego, wybitnie cechującego charakter przodków naszych, a zawsze jeszcze bardziej wyraźnego u niewiast polskich; chętnie chcielibyśmy widzieć w śmierci znaniej z pobożności Barbary, tę cechę chrześcijańską, niczym tu niewyrażoną; chcielibyśmy znaleźć coś jasno mówiącego, iż przed ostatnią godziną powołującą ją na sąd Najwyższy, myślała o Bogu, iż umierała jako prawdziwa katoliczka. Powtarzamy raz jeszcze: nie mamy prawa wymagać aby artysta dał taki lub inny układ figur, aby koniecznie włożył w ręce umierającej krzyż lub gromnicę, jak to w takich chwilach u nas było w zwyczaju; lecz zdaje nam się iż uwydatnienie przez jakikolwiek symbol tej strony charakterystycznej, podniosłoby obraz w prawdzie i znaczeniu historycznym; że takie nadanie cechy więcej religijnej, rozlałoby więcej uczucia wzniosłego na obraz, złagodziłoby okropność chwili, nasuwając osładzające myśli o niebieskim życiu, przywiązując serdeczniej do zawsze drogiej, choć zmarłej osoby. Również pragnęlibyśmy widzieć w postaci Zygmunta więcej rospaczy, silniej i gwałtowniej objawionej; pod tym względem autor mógł go inaczej od nas pojmować. Co zaś do samego oddania artystycznego, może wolelibyśmy mniej rywalizacji pomiędzy akcesoryami a sceną główną, która nieprzyjmiona za wielką pięknoscą przedmiotów dodatkowych, z silniejszym efektem przemawiałaby o sobie. Widzenia te jednak nasze są zupełnie indywidualne, nie mogące ani umniejszać rzeczywistej wartości, ani osłabić uznania powszechnym oklaskiem uświęconego dzieła, które w historii malarstwa naszego, wziętością swoją wyjątkową, epokę stanowić może.

J. Kossowicz.

HRABIANKA DYNIA,

O B R A Z E K.

Skreślił

Teod. Tom Jez.

(Dalszy ciąg.)

Z Jakubem poszło Jakubowej łatwo, z łatwością bowiem potrafiła przekonać męża, że jeżeli Parfeni zostanie księdzem, to wówczas dopiero spełni się ich życzenie w zupełności; wówczas stanie się on dla rodziców pociechą, dla ludzi pożytkiem, dla pana Boga chwałą. Przykro wprawdzie było Jakubowi pomyśleć, że syn nie będzie jego zagonu uprawiał, zagonu, który on do coraz większej doprowadzał doskonałości. Uznał jednakże, iż w stanie kapłańskim obszerniejsze otworzy się dla niego pole działania, pole moralne, uprawa ludzkiego sumienia. Ale trudność urzeczywistnienia, olbrzymia bo nieznaną, istniała zawsze. Przed Suchobrodzkiemi, niby widmo, wznosiło się tajemnicze zapytanie:

— Jakim sposobem wykierować Parfeniego na księdza?..

(Dodatek do Nr 64 Tyg. Ilustr.)

Po krótkiej pomiędzy małżeństwem naradzie, stało na tém, że trzeba rozpytać się proboszcza.

— Kiedy trzeba, to trzeba... rzekł Jakub, chodźmy. I poszli.

Proboszcz, powitawszy Suchobrodzkich, natychmiast wziął się do tabaki, a zażywając, przypomniał sobie wypadek.

— No, proszę.... rzekł, co to się asani wtenczas stało?.. O małoś mnie z nóg nie zwała... Co to było?..

— Nie wiem, księżu dobrodzieju, ale...

— To bo to źle, że nie wiesz... przerwał jej proboszcz, zażywając tabakę i uciurając hałaśliwie nos w czerwoną kraciastą chustkę. Bo to... hm!.. hm!..

Tu znów rozwinął chustkę, potrząsnął nią i poprawił utarcie nosa.

— Bo to, ciągnął, przyznam się asanństwu, pierwszy raz w życiu mi się coś podobnego przytrafiło... Od razu wysypać całą tabakierkę!.. No, proszę!... A jeszcze, jak na tóż, przed chwilą ją był napełnił... I cóż to się asani stało?..

— Nie wiem, księżu dobrodzieju... tłumaczyła się kobieta proszącym głosem, chcąc przyjść nareszcie do słowa. Ale...

— Cóż, ale?.. przerwał proboszcz. Bo trzeba wiedzieć, że to był ostatek tej, co mi z Czerniejowiec przywieźli, a do Czerniejowiec przeszwarowali z Kamieńca... Prawdziwa szarogrodzka tabaka!.. A trzeba wyznać, że tam lepsza, jak u nas na ferlagach...

— Księżu proboszczu dobrodzieju, odezwał się Jakub, korzystając z chwili, gdy ksiądz zaczął stuknąć w tabakierkę.

— Cóż takiego?.. rzekł ksiądz; a pokazując otwartą tabakierkę, dodał:

— To już nie taka jak tamta... Nie mogę tamtej odzalać...

I podał Jakubowi do zażycia.

Jakub zażył i kichnął.

— A co, mocna?

I podał Jakubowej.

Jakubowa zażyła i rozkichała się.

— Aha!.. a widzisz asani... Na zdrowie!.. Na zdrowie!.. Ale tamta była mocniejsza... Szkoda tamtej!..

— Proszę księdza dobrodzieja... rzekł Jakub kłaniając się, my przyszedliśmy z interesem...

Tu Jakubowa, wykichawszy się, podchwyciła chwilę w której proboszcz nie przerwał jej mężowi, i prędko a krótko wyłożyła księdzu cały interes.

Ksiądz wysłuchał, słuchając nadał się, wysłuchawszy zażył tabakę, strzepnął palce, utarł nos, złożył porządnie kraciastą chustkę, czmychnął parę razy nosem, chrząknął i tak powiedział:

— Wam się zdaje, że to tak łatwo zostać księdzem... E! nie tak to łatwo... Lada kto nie zostanie... Trzeba wiele...

I postukał się palcem po czole i powrócił do rozmowy o tabace.

Suchobrodzcy odeszli od księdza z niczem i zmartwieni.

— Chodźmy do pana... rzekła Jakubowa.

— Chodźmy... odparł Jakub.

— A co powiecie?.. zapytał ich pan, gdy Jakub oznajmił mu że przychodzi z interesem.

I interes został wyłożony w całej obszerności. Jakub mówił, a Jakubowa dogadywała.

— Mąż Parfeni na księdza powołanie?.. zapytał pan gdy skończyli.

— Powołanie?.. pytającym tonem odezwała się Jakubowa, nie rozumiejąc wyrazu.

— To jest możeby on wolał być czem innem, nie księdzem...

— Jak to być może?.. zawołała Jakubowa. Możnaż chcieć być czem lepszym, jak księdzem?

Pan się uśmiechnął, a po chwili rzekł:

— Nauka jednakże jest rzeczą kosztowną... Ale mniejsza o to... Wiem że Parfeni ma zdolności, którymby grzechem było nie dać się rozwinąć... Trzeba im dopomóc... O powołaniu swoim on sam dowie się dopiero, gdy będzie miał potrzebną wiedzę... Oddajcie go więc do szkół, a co się kosztów tyczy, to tak zrobimy: czego wam nie dostanie, to ja dołożę...

I opowiedział im co i jak mają zrobić.

Suchobrodzcy powrócili do siebie, pełni radości i nadziei, i przejęci na wskrós wdzięcznością dla pana.

VII.

Gdzie się Parfeni uczył, o to mniejsza; albo raczej, niewiele czytelnikom przyszłoby z tego, chociażby powiedział, że najprzód w Stanisławowie, a po-

tém we Lwowie; niewiele z tego powodu, że nie mogę przedstawić mu obrazu szkół galicyjskich, znanych mi tylko ze słuchów i skutków. Gdziekolwiekby się jednak uczył, wszędzieby na jedno natrafił: na dowolny, ciężki system nauczania.

Z tym systemem — tak wypadło:

Nie uczyłeś się? — no, to naturalnie nic umieć nie mogłeś; dawano ci złe noty; nazywano cię *asinus*; póki było można, to cię trzepano w skórę, i w końcu — fora ze szkół!

Uczyłeś się pilnie, wjadaleś się jak mól w książki, na których znaczone ci lekcye? — to jeszcze gorzej: bo głowa ci pękała od niestrawnych rzeczy, któremi ją przez kilkanaście lat z rzędu napychano; jeżeli natura obdarzyła cię zdrowym rozsądkiem, to ten wywietrzał; i wreszcie, przeszedłszy tak zwane normalki, łaciny, greki i filozofię, kończyłeś szkoły, ale umiałeś: nic.

Jedyny dla młodzieży ratunek zawierał się w niej samiej, w tém że było jej dużo razem. Gdyby można było każdego młodego człowieka odosobnić i dać mu tylko skosztować tamecznego systematu nauczania, to z pewnością nie wykreśliłby się żaden, razem jednakże, jeden dźwigał drugiego. System ten gasił zbytek inteligencji, której szkodliwość była uznana, ale zagasić jej nie mógł. A że był złym, tego dowodzą obecnie przedsiębrane reformy edukacyjne, za pomocą których poszukuje się jakiegoś nowego, lepszego.

Z Parfenim naszym, gdy wszedł do szkół, zrobiło się to co z niejednym młodzieńcem. Z razu ugiął się on pod ciśnieniem systematu, a potem, za wpływem towarzystwa rówieśników, wyprostował się i uratował. Ratunek ten gubi niektórych w szkole, tracąc bowiem wiarę w profesorów, przestają się uczyć. On jednakże nie zgubił się. Wielkimi, jakimi go natura obdarzyła, zdolnościami potrafił starczyć na wszystko: w klassach nauczył się po niemiecku i — co jest przy wielkiej nawet pilności niesłychanie rzadkiem — po łacinie i po grecku, za klasami — po polsku. Przez nauczanie się to łatwo mu przyszło uczenie się. Tamto stało się abecadłem, za pomocą którego sam już dójść mógł czytania. Czytał też: — czytywał starożytnych i nowożytnych autorów, wszystkich jakich tylko do rąk mógł dostać. W czytaniu tém nie było ani chronologicznego, ani przedmiotowego ładu. Autor stawał obok autora, treść obok treści, zupełnie przypadkowo — ot — jak się udało, a pogodzenie ich i wyciągnięcie z nich wniosków dobra i piękna, było całkowicie dziełem Parfeniowego umysłu, dziełem, krórego on udzielał spółtowarzyszom w rozmowach i dysputach. Zbiegł się n. p. Homer z Mickiewiczem, Iliada z Panem Tadeuszem, i w umyśle Parfeniego zlewały się w jedno jakoś Mickiewiczowskie z Homerycznymi postacie. I on te różnice łączył z odległą przeszłością, upatrywał podobieństwa, a z podobieństw wysnuwał prawa logiki dziejowej. Tym sposobem świat myśli odsłaniał przed nim tajniki swoje w coraz większej i coraz różniejszej ilości, a świat wyobraźni rozrzucił się przed nim, niby roskoszne Eden, niby czarodziejski i zaczarowany ogród.

Drogą takiej samodzielnej umysłowej pracy, takiego zestawiania, godzenia, łączenia i przeciwstawiania obrazów i moralnych wniosków, wyrobił sobie bohater nasz, nieco wprawdzie wyegzagerowane, jak zwykle młodzieńcze, o dostojności człowieka-jednostki pojęcie. Postawił on go przed sobą w ideale, jako wyraz woli nieprzewartej, jako streszczenie siły niezłamanej. W takim jednakże pojęciu zatraciło się kapłańskie w zwykłym rozumieniu powołanie, powołanie, drogą którego kroczył Parfeni. Czy nie mógł z tej drogi się wyłamać, a pójść inną? Możeby i mógł... Dlaczegoż nie szedł? spytacie.

Oto dlatego, że w powołaniu tém upatrywał, zdawało się mu, środek, za pomocą którego najłatwiej jest uchwycić koniec owej archimedesowej dźwigni, którą należy świat podważyć, aby go na nową przetrzucić drogę. Więc szedł z młodzieńczą ufnością, nie przewidując trudności, ani zrażając się suchością i jałowością teologicznej dyalektyki, którą starano się umysł jego wkleścić martwych ująć formułek. Szedł razem po dwóch drogach, po formalnej i żywej; po pierwszej, jak żołnierz z nakazu, przez obawę jedynie aby nie być posądzonym o trwożliwość, nie puszczający się na maroderkę w tylnych szeregach; po drugiej, jak żołnierz z dobrej woli rwący się naprzód

na ochotnika. A jeszcze jedną, i to nie najpośledniejszą z pobudek, jakie go na tej dwoistej drodze trzymały, była dla niego wola rodziców, których on, pomimo całej swojej umysłowej wyższości, nie przestał ani na chwilę kochać i szanować.

Bo też ci Suchobrodzcy zasługiwali na miłość i szacunek. Na wychowanie syna, ze skóry się oni, rzecz można, wywlekali. Pracowali ze spotęgowaną gorliwością, a czego im z owoców pracy ręcznej nie dostawało, tego dopełniali sprzedażą inwentarza, tak żywego, jak nieżywego. Chociaż bowiem pan, wedle przyrzeczenia, pomagał, ale oni nie chcieli, jak powiadali, krzywdzić pana. Chociaż z drugiej strony Parfeni znalazł środki utrzymywania się w szkołach własnymi siłami, ale im chodziło o to, aby mu na niczym a niczym nie zbrakło, aby uczeniem drugich, nie przeszkadzał sobie. Poszły tedy najprzód owce, potem jałówki, potem krowy i woły, potem niektóre z narzędzi, i pozostało tylko to, co koniecznie było potrzebnym do prowadzenia gospodarstwa. Z inwentarza żywego pozostała tylko jedna krowa i para koników, z nieżywego zaś, ze wszystkich narzędzi po jednej sztuce. Rozumieli się że w miarę ubywania inwentarza, tego wyręczyła ramion rolnika, powiększała się ręcznej pracy potrzeba. A gdy inwentarza nie stało, to się jeszcze jedna nieprzewidziana odkryła potrzeba: w razach gwałtownych uciekanie się do pożyczek, które jedne spłacały się drugimi, coraz większemi. Parfeni o tym wszystkiemu nie wiedział, a Suchobrodzcy pocieszali się:

— Niechno Parfemek wykieruje się na księdza, to to wszystko do dawniejszego przyjdzie ładu... Jak już nie będzie potrzeba ekspensować, te długi powoli się spłaca i można będzie nowy zaprowadzić inwentarz...

Jak więc w tym rzeczy składzie ważną była osoba Jakuba, jak drogiemi były te stare koniki, o tym nie mam potrzeby zawiadamiać domyślnego czytelnika.

I od razu Jakubowa owdowiała, Parfeni osierocił, gospodarstwo opuszczonem zostało przez główną, najważniejszą osobę, i jakby tego jeszcze było niedość, pozbawionem ostatniego inwentarza i ostatniego woza, i to w jakiej chwili? kiedy Suchobrodzcy lubowali się słodką nadzieją, która im pod postacią jedynaka, niby widne już a blizkie, a pewne Eldorado, jaśniała; kiedy Parfeni, jakby jakim deserem po obiedzie, zabawiał się młodocjanym utworem niemieckiego poety, i roił, przerzucony na drogę żywą, na której w fantastycznych osłonach, jako żywego piękna wcielenie, kobięce migają mu postaci. Temu się nie dziwny, on był młodym; ani się tym gorszym, do wyświęcenia bowiem na księdza miał przed sobą jeszcze parę lat, w których wolno mu przecie jeszcze było nie zapatrywać się na piękną kobietę jak na pokusy szatana. Dodać tu muszę, że o kobietach, znając je to z hniłeckich wzorów, to z książek, miał dobre a poetyczne wyobrażenie. Stawiał je w wyobraźni swojej w postaci pięknej, niewinnej a słabej. Nie znał ich osobiście, nie wiedział więc, jaką te słabe istoty obdarzone są potęgą.

Pierwszem w życiu osobistym zetknięciem się z kobietą, było dla niego sprowadzenie hrabianki Wierzgalskiej z góry do Nadwórny. Wywarło ono na niego wrażenie, ale to wrażenie zatartem zostało śmiercią ojca; nie tak jednakże zatartem, aby zaginęło jak kamień w morskiej otchłani. Mała przyczyna, drobne jakieś „nic“, mogło je odżywić.

Nakazała mu hrabianka wyraźnie: „a proszę do mnie przyjechać.“ On wszakże o tym zapomniał, jak o wszystkiemu o czem z nią mówił, a co sennemi jakimiś wydało się mu dźwiękami. Posłuchał nakazu, ale nie ję; takiego jednakże, który go do Hylek zaprowadził.

Ostatni ten nakaz pochodził od matki.

Ponieważ śmierć Jakuba stała się nagłym i gwałtownym sposobem, przed oddaniem przeto ciała ziemi, należało sprowadzić urząd. Urząd przyszedł i zarządził śledztwo. Pisaniny było dużo, więcej jak gadania, ale i na tym nie brakło. Rozpytywano, badano, a przedewszystkiem pisano. Jużto, co się pisania dotyczy, to jest słabością Austryaków, słabością z powodu której powinnyby tam przynajmniej fabryki papieru w kwitającym, w lepszym jak w całej Europie znajdować się stanie. Spisano wypadek po kilkakrotnie, coraz to innemi wyrazami, a zawsze z najdrobniejszymi szczegółami. Z tych opisów taki wyniósł rezultat, że oprócz dekretu pochowania męża,

dostało się jeszcze Suchobrodzkiej poświadczenie szkody jaką poniosła i summaryczne téjże szkody oszacowanie, z tym dodatkiem, że jeżeliby takowej dochodzić chciała, to jej wysoki rząd pozostawia drogę prawa.

— Nie wiem ja, jaka to tam ta droga prawa.. rzekła wdowa, gdy jej decyzją urzędu syn wytłumaczył, ale to wiem, żeśmy ciężko poszkodowani i że ostatnią wolą nieboszczyka było, abysmy się o szkodę upomnieli... Trzeba więc mój synu, abys się udał do tego państwa i pokazał im to, co to ci panowie urzędnicy napisali i powiedział im żeśmy biedni, i poprosił ich aby nam szkodę zwrócili...

Ale ani hrabiego, ani hrabianki nie było już w Nadwórnej. Oni na drugi dzień wyjechali, a śledztwo ciągnęło się przez trzy dni, póki wyrok nie zapadł i wykaz szkody nie został sporządzony. Pozostawało więc udać się do nich do Hylek.

— To trzeba żebyś tam poszedł... powiedziała Jakubowa do syna. Ale piérwój, moje dziecko, odprawdź mnie do domu... Niech ja nie wracam sama... och!.. sama!..

I zapłakała biedna kobieta.

Parfeni zrobił co matka chciała.

Litościwy mieszczanin, w domu którego skołał Jakub, nie chciał ich piechotą puścić.

— A, toby mieli ludzie prawo powiedzieć, że was w nieszczęściu wypędził od siebie... A jeżeliby ludzie tego nie mówili, toby mi własne powiedziało sumienie... Nie, nie pójdziecie piechotą... Dam wam wóz i woły i niech was Bóg prowadzi...

Jakoż rzeczywiście dał im wóz, i woły, i parobka, na wóz włożył połamane i potargane ich graty, a także i dwie końskie skóry, zdjęte jego staraniem, i oni odjechali.

W Hniłkach z najwyższem spółczuciem przyjętą była wieść o nieszczęściu jakie ich spotkało. Hniłecy mieszkańcy, mężczyźni i kobiety, processyą odwiedzali Suchobrodzką, pocieszali ją jak umieli i znosili jej co mogli.

— Ot, patrzcie się... mówiła np. jaka młodyca. Powiadają, że to trudno człowiekowi na gładkiej drodze nogę złamać... A was, jakie wielkie nieszczęście na gładkiej, i to jeszcze na cysarskiej drodze spotkało... Haj, haj!.. Cóż to, mój Boże, za nieszczęście!.. Jacyż wy biedni, Jakubowa!.. Nacież wam, ot, choć to tymczasem... Ta niech nie będzie powiedzianem, że was w nieszczęściu ludzie opuszczają...

I tknęła jej w ręce kurkę, albo krup węzełek, albo parę moteczków, albo co innego.

Gospodarze zaś ze swojej strony zmówili się obrobić jej pole. Ze to była pora żniw i oranki na ziębl, więc obżeli ją, obwiezli, omłócili i oborali. Jakubowa i Parfeni nie mogli się im dość nadziękować. Ten ostatni chciał w robociznie wziąć udział, chciał wraz z gospodarzami żąć, wozic i młócić. Ale ci mu nie pozwolili. Mówili:

— Ty się uczysz... to ty tam już za siebie i za nas robisz... A jak się wyuczysz na dobrego księdza, to i nam tam pan Bóg za zasługę policzy, żeśmy twoją matkę w nieszczęsną dobie podratowali i ciebie wyręczyli...

Na to nie było co odpowiedzieć. Ci wieśniacy nie tylko wyręczyli Parfeniego w robocie, ale go jeszcze i nauczyli; odkryli przed nim bowiem głębokie znaczenie i wysokie, święte nauki powołanie.

Parfeni wejrzał w tajemnice rodzicielskiego gospodarstwa. Straszno mu się zrobiło, gdy stan onego zbadał.

— Zkądżeście na mnie łożyli?.. zapytał razu pewnego matki.

— O to się, moje dziecko, nie pytaj... odrzekła Jakubowa. Nieboszczyk pracą na wszystko starczył... Jemuś to był winien... Za niego prosz Boga, aby jego duszy dał wiekuisty odpoczynek... Ot, ja myślę, co to teraz z tobą będzie?.. zkąd teraz wziąć dla ciebie?.. I lży jej w oczach stawały.

— Ależ moja mamó, ja nic, ani półkrajcara, nie trzebuje... Ja dam sobie radę, i wam będę mógł udzielić...

— Co tego, to nie!.. przerwała żywo i jakby wgniewie Jakubowa. Nie chcę!.. nie przyjmę!..

Lecz u niej natychmiast uniesienie przechodziło. Ży jej z za powieki napływały. Wyciągnęła ręce i przygarnęła syna do łona.

— O! mój Parfemku!.. mój synu!.. moje dziecko lube, ta jedyne!.. A do tych państwa, kiedy ty się

zbierzesz?... zapytała, jakby sobie raptem i niespodzianie przypomniawszy.

Było to we trzy tygodnie po wypadku na nadwórniańskiej drodze.

— Choćby zaraz... odparł Parfeni.

— Idź, moje dziecko, idź... mówiła tonem półproszącej namowy — Idź!.. Dla nas te sto piętnaście reńskich i siedmnaście krajcarów wiele, bardzo wiele teraz znaczą...

Nie chciała powiedzieć: „oddam je wszystkie tobie,“ bo się obawiała, aby syn nie poczuł skrupułów i zgóry nie odmówił. Myślała sobie:

— Niechno tylko przyniesie, to już potem znajdę sposób dać mu te pieniądze...

A Parfeni myślał sobie:

— Trzeba dostać te pieniądze koniecznie... One matce wielką staną się pomocą... One jedne tylko mogą niedostatkowi, jaki jej zagraża, na razie zapobiedz... Potem postaram się o inne...

A że Jakubowej zagrażał niedostatek, to temu trudno było zaprzeczyć. Bo gospodarstwo nie mogło ciągle na łasce ludzkiej pozostać, należało je opatrzyć, a przytém trzeba było płacić podatki, które coraz uciążliwszemi się stawały.

Przejęty tém Parfeni, wybrał się w drogę. Wybrał się jego było krótkie. Jechać, nie było czem ani o czem. Pozostawała podróż piesza. A żeby się wybrać piechotą, choćby w najdalszą podróż, na to nie potrzeba ani dużo czasu, ani wielkich zachodów. Parfeni posiadał tornister, z którym wakacyjne robił wycieczki. Wpakował więc do tornistra parę czystych koszul, sutanę i niektóre, jak je żołnierz austriacki nazywa, *Klejnigekjly* (t. j. szczotki, grzebień, pomadę etc.), z boku przytroczył eleganckie buty, na siebie wdział podszarżany nieco lekki paletocik, w rękę wziął kij sekaty i ruszył. Matka odprowadziła go aż za wieś, i żegnając się mówiła:

— A wracajże jaknajprędzej...

— Będę się spieszył, odparł Parfeni. Ale gdyby interes wymagał abym dłużej zabawił, to nie martwicie się mamó...

— Będę cię wyglądała i modliła się za ciebie..

To rzekłszy, uściśnęła syna, przeżegnała jego drogę i wróciła.

Parfeni poszedł.

Nie będę bawił czytelnika opisem jego podróży. Nic mu się nadzwyczajnego, ani nawet tylko szczególnego nie przytrafiło. Szedł, zatrzymywał się na odpoczynki, popasy i noclegi, znów szedł, a idąc rozmyślał. Rozmyślanie jego było smutne. Pierwsze nieszczęście jakiego doznał, zanadto było świeżem, aby mógł unieść się swobodnie w krainę złotych rojeń. Jeszcze był on niemi przytłoczonym i jakby do ziemi przyciśniętym. A nadto cel jego podróży był za zbyt materyalny, bo czysto pieniężny, a zatem taki, który rojeniom u samych lotów skrzydła obcina. Wiedzieć bowiem należy, że nikt mniej nie roi (nie roi w sensie pięknym), jak ludzie w celach pieniężnych podróżujący. Wszyscy agenci spekulacyjni, kommissanci, komiwojażerowie, są najbardziej antypoetycznymi dwunożnymi. Ich strofami są cyfer kolumny, ich piosnki układają się do harmonii tonów jakie dukaty wydają.

A jednakże nasz Parfeni, myśląc o celu swojej podróży, mimowolnie wywoływał przed wyobraźnią postać niewieścią, która mu nie dźwiękiem dukatów, ale czystym, srebrnym, na wskróś przenikającym głosem kładła w ucho wyrazy:

— Proszę do mnie przyjechać...

On do niej nie jechał, ale szedł, i po trzech dniach doszedł.

— Czy to Hyłki?.. zapytał spotkanego wieśniaka, dochodząc do wsi, którą już widział, i o której wiedział jak się nazywa.

— A to, proszę jegomości... odrzekł wieśniak.

Parfeni zatrzymał się dla zrekognoskowania pozycyi. Przed nim rozścielaly się Hyłki, przerzniete przez środek rzeczulką, jak Hniłki, ale jakoś inaczej. Fizyognomia wsi była odmienną. Wyglądała ona niby chudo i mizernie, a tém mizerniej, że odbijała od pysznego dworu i dużej murowanej austeryi. Dwór i karczma, zdawało się, że rozmogły się w wielkość i piękność kosztem chat, które były małe, koszlawe, z poobdzieranemi strzechami, bez sadów i ogrodzeń. Cała piękność ześrodkowała się we dworze. Był to leśny pałacyk, postawiony na wzgórzu i otoczony włosko-angielskim ogrodem. Fronty, odpowórzowy i od-

ogródkowy, zdobne były w kolumnady ustrojone w bluszcze. Duże okna uwydatniały misterne gzymsy, bielące się śnieżycie z pod czerwonego dachu. Z pośredka drzew ogrodowych przeglądały posągi, mostki, pagody i drobnym żwirem wysypane ulice.

VIII.

— Więc to są Hyłki... mówił do siebie Parfeni, stojąc jeszcze i przypatrując się. A tam mieszka... Chciał powiedzieć: ona.

Ale poprawił się i rzekł:

— Hrabia Wierzgalski...

I mówił do siebie powoli, jakby rekapitulując dla pamięci cel swego przybycia:

— Wierzgalski..., hrabia... wielki pan... sto piętnaście reńskich... i siedmnaście krajcarów... Jakże on pięknie mieszka!...

I wpadł nasz bohater w jakiś rodzaj zadumy, w której mu się snuły hrabianka Dynia i austriackie banknoty.

Miało się ku zachodowi słońca. Dzień kończył się prześlicznym letnim wieczorem. Dymy słać się poczęły nad doliną w której Hyłki leżały i osłoniły część ogrodu pałacowego. Wracająca z pola trzoda wzbijała na drodze kurzawę, która do wspólni z dymami nad wsią chmurą zawisła. A pod tę chmurę wzbijały się głosy nie pozbawione pewnej właściwej sobie harmonii, a złożone: z ryku krów, beczenia cieląt, piania kogutów, szczekania psów, pokrzykiwania gęsi i skrzeczenia żab.

Do tych głosów, które nieco z oddalenia do Parfeniowego słuchu dochodziły i dlatego w harmonię spływały, dołączyło się raptem blizkie rżenie konia, a wraz ze rżeniem i tentent na drodze. Parfeni się obejrzał. Droga ku wsi zbliżała się czterech jeźdźców. trzech rzędem, a jeden z tyłu. Jechali stępem. We wzajemnym ich jednego do drugiego położeniu, zachowaną była pewna symetria. Pośrodku jechała kobieta, po obydwóch jej stronach dwóch mężczyzn, z tyłu także mężczyzna.

Kobieta była w amazonce. Czarna, długa suknia spływała z niej na bok, a z pod męskiego, niskiego o szerokich, zawiniętych do góry brzegach i ozdobionego z boku leżącym piórem kapelusika, wymykały się sploty grubych warkoczy. Jechała lekko a posuwisto. Koń pod nią rwał się, rżał, pinił i żuł munsztuk niecierpliwie. Zdawało się że ze skóry wyskoczy i ją rozbije. Lecz także zdawało się, że szanuje on jeźdźca, którego dźwiga na grzbiecie. Bo amazonka z lekka tylko trzymała lejce rączką w paliowej rękawiczce, i to wystarczało na hamowanie niecierpliwego rwania się konia. W drugiej rączce trzymała ona cieniuchny pręcik, którym mu niby groziła, ale nie bardzo, dlatego że prawie nań nie zważała, zajęta będąc rozmową z jadącymi obok towarzyszami.

Towarzyszami tymi byli: z prawej strony długi, chudy jegomość, w cylindrowym kapeluszu i rajtroku, trochę naprzód pochylony i opuszczony na siodło od niechcenia, ogolony pod nosem i rudawy na faworytach, Anglik, a może tylko zangliczały; z lewej, młody, czerstwy chłopak, w ułańskim austriackim ubraniu, to jest, w stożkowej, niziutkiej, z czarnożółtym na przodzie słupkiem i cyfrą czapeczce, i w ciemnozielonym, z czerwonymi wyłogami i z frenzelką pomiędzy tylnymi guzikami surduciku, jakiś unter albo ober-lejtnant. Jadący z tyłu, w butach ze sztylpami i przypinanymi na sprzączki ostrogami, opasany łosiowym na trzy palce szerokim paskiem, w wysokim z kokardą kapeluszu i w liberyjnym, z herbem rodziny Wierzgalskich surducie, nie mógł być nikim innym, jeno jakimś Wasylem lub Maksymem, przefabrykowanym na grooma.

Ten ostatni, oddalony o kilkanaście kroków, jechał i milczał. Trzymający się zaś w szeregu, jechali i rozmawiali.

Gdy się zbliżyli, Parfeni w średnim jeźdźcu poznał hrabiankę. Stał się słupem. Zrobiło się mu i zimno i gorąco. Nie wiedział co z sobą zrobić: powitać, czy nie powitać?... ukłonić się, czy nie, i co powiedzieć?..

Hrabianka zwrócone miała oczy na lewo; w tej właśnie chwili rozmawiała z ułanem, a z tej strony stał i Parfeni. Stał tak blisko, że koń ułana prawie o niego się otarł. Co hrabianka mówiła, tego on nie wiedział, bo mówiła po francuzku, ale to wiedział, że na niego popatrzyła, i w jej wzroku mignęło coś niby zdziwienie, czy uradowanie. Popatrzyła, a odjechałszy o kilkanaście kroków, nawet się obejrzała.

Ona odjechała, Parfeni został, i długo ją okiem przeprowadzał. Znikła mu we wsi na drogi załomie, ale wkrótce potem znów się pokazała w wysadzonej topolami alei, prowadzącej od grobli do pałacu. Jechała klusem, przodem przed pobocznymi towarzyszami swymi. Postać jej, pomrokiem wieczornym owiana, polotnie jakoś pomiędzy smukłe sunęła topole, niby jedna z nich, wymykająca się z ich grona. Przesunęła się i znikła.

Parfeni westchnął.

Widział on we Lwowie amazonki, ale żadna nie wydała się mu taką, jak ta. Tamte go bawiły, ta go zachwyciła. Dlaczego? Na takie zapytanie nie ma odpowiedzi. Zachwyciła go, i kwita, chociażby dlatego tylko, że on był Parfenim, a ona Dynią.

Znów westchnął i począł zbierać myśli, które się były zatamowały niespodzianym zjawieniem się hrabianki, jak potok, gdy raptem tamę mu w poprzek rzucą. Wątkiem jego myśli stało się zapytanie:

— Czy mnie ona poznała?...

Dwie odpowiedzi: „poznała i nie poznała,“ splatały się i wywracały po jego głowie koziółki.

— Jeżeli poznała, mówił sobie w duchu, to już... nie można..

Czego wszakże „nie można,“ tego on sam nie wiedział.

— Ale, jeżeli nie poznała... to...

I to „to“ pozostawało bez żadnej konkluzji, nierozwiązane, ot, tak sobie, na wiatr rzucone.

Tego wieczora, uważał on, że nie wypada hrabiemu się prezentować, chociaż znów nie wiedział, dlaczego nie wypada.

— Pójdę jutro rano, a dziś w karczmie przeno-cuję... powiedział sobie.

I jak powiedział, tak zrobił. Poszedł na noc do karczmy.

Karczmarze mają osobny sposób traktowania takich jak nasz bohater gości, wchodzących do kategorii podróźujących czeladników (reisende Geselle). Nie dają im osobnych apartamentów, chociażby te pustką stały, a to dla tej przyczyny, że nie mają oni czem opłacać pokojów i pościeli. Szynkowa izba, oto apartament dla nich, ławka, stół albo podłoga, oto pościel. Dobrze jeżeli który, na wyraźne żądanie i za opłatą z góry, dostanie wiązkę siana lub kul słomy. Letnią porą lokują ich na podsieniu.

Parfeni, zjadłszy kawałek suchego z solą chleba i napiwszy się wody, ulokował się na podsieniu, na kulu słomy. Miał on zwyczaj chleba i sól zaprawiać w podróży czosnkiem, ale tym razem od czosnku się wstrzymał, przez wzgląd na jutrzejszą wizytę.

Pomyślał przytém i o toalecie, w jakiej miał wystąpić.

Jużto miał on trochę pretensyi, tego tać przed czytelnikami nie będę. Na usprawiedliwienie jego jednakże powiem tylko: któżbo z nas bez pretensyi? W młodym wieku inaczej, w późniejszym nieco inaczej, u jednych w mniejszym, u drugich w większym stopniu ona się objawia; ale zawsze jest. Nieraz zaniedbanie w odzieniu bywa właśnie najwyższym stopniem pretensyi. To przeto, że w tornistrze, w torbie *Kleinigkeitów*, miał on grzebyk, lusterko i pomadę, nie dowodzi bynajmniej, aby miał być pretensjonalnym, w złém tego wyrazu znaczeniu.

Pomyślawszy o toalecie, pomyślał o stu piętnastu reńskich, i siedmnaście krajcarach, i o matce, potem o hrabi i o tém, jak ma do niego przemówić, potem o hrabiance i o tém, czy téż go ona poznała, czy nie. Z tém wszystkiém zasnął.

Było jeszcze bardzo rano, kiedy wstał i wyszedł przed karczmę. Hyłki spowite były porankowym tumanem. Bohater nasz spoglądał ku pałacowi, niezbyt od karczmy oddalonemu. Śnieżył się on białością, panoszył pięknością, i otulony u spodu zielenią, wyglądał jakoś sennie, drzemiąco.

— Tam jeszcze wszyscy śpią— rzekł Parfeni sam do siebie. Ciekawa rzecz, o której godzinie hrabia wstaje... Trzeba spytać się o to arendarza...

Dobrych jednakże dwie godzin upłynęło, zanim się mógł spytać, bo arendarz spał. Tymczasem więc zabrał się do toalety, umył się, uczesał, oczyścił i ustroił zupełnie tak, jakżeśmy go na nadworniańskiej górze widzieli.

Arendarz zdziwił się niepospolicie, gdy tego, którego miał za *reisende Geselle*, a do tego *arme*, bo chlebem tylko ze solą na wieczere się posilającego, uj-

rzał raptem przeobrażonego na księdza, w cieniutkiej nowiej sutanie i w wyglansowanych butach.

— Ny, ja nie wiedział, że jegomość, jegomość....

— Czy hrabia w domu?... zapytał go Parfeni, dla zrobienia sobie wstępu do następnych pytań.

— Ta-że w domu....

— Można się z nim widzieć?

— Czemu nie?

— A rano on wstaje?

— Ale, gdzież-tam!

— O której godzinie?

— Ny, ot-tak, troszki że nie przed południ... A to jegomość ma do pana hrabiego interes?... zapytał Żyd z kolei.

— Mam.... odparł Parfeni.

— A jaki?...

— Chciałbym się z nim widzieć....

— Al... odrzekł Żyd z akcentem nieukontentowania, z powodu że ciekawość jego, stanowiąca gruntową właściwość żydowskiego charakteru, nie została zaspokojoną; i znów zapytał:

— To jakiż-to interes?

— Mój własny... odpowiedział Parfeni.

Żyd począł nucić pod nosem, czém wyraził wielkie już swoje nieukontentowanie.

— To hrabia późno wstaje? zapytał Parfeni, chcąc następnie przejść do pytań ściągających się do przystępności hrabiego.

Arendarz jednakże nic już nie odpowiadał. Udał zamysłonego i nucił.

Czekał więc Parfeni i czekał, postanowiwszy nie wcześniej jak około dziesiątej pójść godziny, ale że nie miał zegarka, więc tropił dziesiątą na słońcu, i kiedy mu się wydało, że jeżeli jeszcze nie wybiła, to już musi być blisko, ruszył do pałacu.

Omylił się jednakże nasz bohater o dwie z góry godziny.

W pałacu, spotkawszy lokaja, zapytał go:

— W domu hrabia?

— W domu.... odpowiedział zapytany.

— Można się z hrabią widzieć?

— Hrabia pan śpi.

— O której wstanie?

— Pan hrabia dziś nie wstanie.

Z tą odpowiedzią opuścił Parfeniego lokaj, a Parfeni pałac, i spuściwszy głowę szedł wzdłuż ogrodu z powrotem do karczmy, myśląc nad znaczeniem lokajskiej odpowiedzi. Idąc zatrzymywał się i błędził okiem po szpalerach, gajkach, łączkach i ścieżkach ogrodowych, od których oddzielał go nie nazbyt szeroki, bez odsypu rów, otaczający ogród dokoła.

— Dziś nie wstanie?... powtarzał sobie często pytającym sposobem, i odpowiadał:

— To trzeba czekać do jutra....

A gdy tak, idąc powoli, zabawiał się pytaniami, odpowiedziami i przypuszczeniami, zadrżał, gdy niespodzianie a niedaleko, głosem, który raz zasłyszany nieraz mu potem dzwonił w tajemnicy jego snów rojonych, usłyszał wymówione wyraźnie swoje imię. Stał.

— Panie Parfeni!... powtórzył głos.

— Jak się pani dobrodziejka ma! zrywając z głowy kapelusz i kłaniając się, zawołał Parfeni w tej chwili, tuż przed sobą, na drugim rowu brzegu, ujrzał hrabiankę Dynię.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KORRESPONDENCA OD REDAKCYI.

Redakcja Tygodnika Ilustrowanego odebrała rs. 1 kop. 10. nadesłane bezimiennie z Petersburga na pomnik Wojciecha Bogusławskiego.

Panu B. K. w Warszawie. Udzielone przez Pana rysunki, redakcja posiada już w swych zbiorach, każdodziennie więc mogą być odebrane. Rebusy zakomunikowaliśmy osobie zajmującej się tą częścią Tygodnika.

Panu F. w Warszawie. Pomyłka jest tak drobna, że sprostowanie jej uważamy za niepotrzebne.

P. S. W. w Kłóbce. Życzeniu Pańskiemu, pomimo chęci najszczerzej, zadosyć uczynić nie możemy.

P. Stanisławowi B. w Kaliszu za nadesłany rysunek wraz z opisem uprzejmie dziękujemy. W czasie właściwym z obu zrobimy użytek.

Pani Wr. w Warszawie. Artykuł p. n. „Kwestya dzisiejsza“ pełen jest myśli zacnych i chęci najpocziwszej. W ostatnim jednak czasie tyle już w tym przedmiocie pisano, że kwestya jeżeli nie za rozwiązana, to przynajmniej za odroczone uważać należy.

P. J. Z. w Warszawie. Z trzech końcówek szachowych użyć możemy tylko pierwszą; druga bowiem mylnie jest zadana, trzecia zaś zbyt łatwą.

DONIESIENIA.

KSIEGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

G. GEBETHNERA

i spółki

istniejąca w Warszawie przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście Nr 415 nowy 17, z dniem dzisiejszym zmienia dotychczasową nazwę i odtąd pod firmą

G. GEBETHNER I R. WOLFF

przez obu dawnych spółników prowadzoną będzie.

NAKLADEM

Księgarni Polskiej

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszli zeszyt 13 i 14 dzieła p. t.

ARCYBISKUPI GNIĘZNIĘSCY

i
PRYMASI.

Zeszyty te obejmują następujące portrety i biografje: 1) Mikołaja IIIgo Dzierzgowskiego herbu Jastrzębiec † 1559. 2) Jana IXgo Przerembskiego, herbu Nowina † 1562. 3) Jakóba IVgo Uchańskiego, herbu Radwan † 1581. 4) Stanisława Karnkowskiego, herbu Junosz † 1603. 5) Jana Xgo Tarnowskiego, herbu Rolicz † 1606. 6) Bernarda Maciejowskiego kardynała oraz Krakowskiego biskupa, herbu Ciołek † 1608. 7) Wojciecha IIIgo Baranowskiego, herbu Jastrzębiec † 1615. 8) Wawrzynca Gembickiego, herbu Nałęcz † 1624.

Cena tych dwóch zeszytów Rsr. 2 (złp. 13 gr. 10).—Cena dla prenumeratorów płacących całe dzieło z góry składające się z 22 zeszytów 88 portretów i życiorysów oznacza się na Rsr. 20 i w takim razie kosztą przesyłki Księgarnia sama ponosi. — Po wyjściu ostatniego zeszytu cena podwyższoną będzie na Rsr. 25.

Nakładem tejże Księgarni wyszła książka p. t.

SZARAŃCZA

opisana szczegółowo, z wyłożeniem sposobów niszczenia jej, przez Józefa Gluzińskiego, przejrzana przez naturalistów Wagę i Taczanowskiego, i pomnożona instrukcją Rządu Gubernialnego Lubelskiego dla mszczących szarańcze, z rysunkiem owadu i narzędzi niszczenia go. Cena złp. 4 (kop. 60).

Nakładem tejże Księgarni wyszła część pierwsza **POWIĄSEK LUDOWYCH** Eleonory Ziemięckiej i obejmuje Słowo wstępne i 14 powiasek

Zdobi to wydanie 17 litografij według rysunków panów Ziemięckiego i Pilatego wykonanych piórem na kamieniu przez pana Pechaczek. Widoczek na początku książki umieszczony, rysowany jest z natury i wykonany na kamieniu przez pana Ceglińskiego. — Cena części I Rsr. 1 kop. 20 (złp. 8), dla płacących prenumeratę na całe dzieło (2 tomy) z góry, oznacza się na Rsr. 2, z przesyłką pocztą Rsr. 2 kop. 35.

A. Dzwonkowski i spółka.

NAKLADEM

ZAKŁADU ARTYSTYCZNO LITOGRAFICZNEGO

ADAMA DZWONKOWSKIEGO i spółki

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszli:

MAZUR

z tematów ulubionych śpiewek ludowych z Łobzowian i Janka z pod Ojcowa, ułożony na fortepian i ofiarowany W. Pani Marji Kołakowskiej, przez Józefa Sosnkowskiego. Cena złp. 1 gr. 15.

Nakładem tegoż zakładu wyszedł zeszyt 4ty

TANCÓW NARODOWYCH POLSKICH

i obejmuje Zbiór Mazurów różnych autorów na fortepian zebranych przez Andrzeja Kratzaera krakowianina. Cena złp. 4 gr. 15, z okładką chromolitografowaną złp. 5.

W dalszym ciągu wydawnictwa dzieła **Hydraulika Agronomiczna** część trzecia zawierająca wiadomości o nawodnianiu gruntów opuściła w tych dniach prasę. Z ukończeniem tej części prenumerata zamknięta zo-

stała; osoby zajmujące się zbieraniem takowej, raczą nadesłać listy prenumeratorów dla zamieszczenia ich na końcu dzieła albo do księgarni Gebethnera i spółki, albo do mieszkania wydawcy przy ulicy Elektoralfiej nr 778 (43). Część czwarta kompletująca całe dzieło, traktująca o torfach, z dodaniem ogólnych wiadomości o studniach świdrowych jest już w druku i wyjdzie na widok publiczny wspólnie z atlasem figur i planów zawierającym w sobie 37 tablic, najdalej w ciągu 6 tygodni.

KSIEGARNIA

i składu nut muzycznych

Józefa Kaufmann i spółki,

przy ulicy Krakowskiej - Przedmieście Nr 442 (71) wprost odwachu,

otrzymała na skład główny wyszła z druku dzieło p. t. Wspomnienia z przeszłości, obrazki poświęcone młodemu wiekowi przez Aleksandrę z Chomętowskich Borkowską, na pięknym papierze z ryciną. Cena Rsr. 1. Nabyć także można we wszystkich znaczniejszych księgarniach tak tutejszych jak i prowincjonalnych, jak również na Urzędach i Stacjach pocztowych w Królestwie Polskiem, po tejże samej cenie bez opłaty przesyłki.

Księgarnia krajowa i zagraniczna

J. J. OKOŃSKIEGO

przy ulicy Miodowej Nr. 496.

Zaopatrzona została w doborowe dzieła w językach: polskim, francuskim i niemieckim, mogące służyć na podarunki przy zbliżających się uroczystościach.

Powyższa Księgarnia otrzymała na skład główny obecnie wyszły zeszyt 5 Dziennika Politechnicznego, wydawanego przez braci Marczewskich. Prenumerata roczna Rsr. 6, półroczna Rsr. 3, pojedynczy zeszyt kop. 50.

Na zbliżające się święta, Księgarnia ALEKSANDRA LEWINSKIEGO przy ulicy Miodowej pod filarami, wydała swym nakładem stosowną i pożyteczną gwiazdkę p. t.

Wiązanka dla Młodzieży

PANTEON

znamienitości polskich obojg płci, przedstawionych w 300 portretach drzeworytowych z dołączeniem treściwych wiadomości biograficznych; książka ta przystępnie napisana, zawiera w sobie życiorysy wszystkich Królów Polskich jako też zasłużonych i znakomitszych pracowników na niwie ojczyznej. Cena egzemplarza w różnych oprawkach od Rsr. 1 do Rsr. 1 kop. 50.

PAMIĘTNIK

TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

WARSZAWSKIEGO

Poszyt IV. Tom II.

za miesiąc Październik

przed parą dniami opuścił prasę i zawiera:

I. O gimnastyce pod względem higienicznym i lekarskim przez dra Łuczkiwicza. II. Część sprawozdawcza: 1 Sprawozdanie z czynności lekarskich w szpitalu św. Łazarza w Warszawie, za r. 1859, lekarz naczelny szpitala dr. Podowski. 2 Postrzeżenia kliniczne i przyczynki do semiotyki chorób sercowych przez dra Łuczkiwicza. Odjęcie części pochwojowej macicy rakowatej przez dra Głiszczyńskiego. Przetoka pochwo-kiszkowa i pochwo-pęcherzowa przez Lud. Chwat. III. Wiadomości z pism zagranicznych: O różnicy oparzelizn sprawionych za życia lub po śmierci przez dra Stanisława Janikowskiego. Płyn pęcherzyków grudy gorączkowej konia użyty zamiast krowianki. Sprawozd. Seifmann Mag. Weter. Rozpoznanie i leczenie rozszerzenia oskrzeli. Sprawozd. dr. Darewski. IV. Posiedzenia Towarzystwa lekarskiego Warsz. 17 w dniu 4 września i 18te w dniu 18 września r. b. III. Część urzędowa: Okólnik K. R. S. W. i D. dotyczący leczenia czarnej krosty.

Powyższe pismo wychodzi nakładem księgarni i składu nut muzycznych Józefa Kaufmann i spółki przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście nr. 442 (71) wprost odwachu.

NAKLADEM

A. NOWOLECKIEGO

księgarza przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście wprost kolumny Zygmunta,

wyszło z druku dzieło pod tytułem: **Obrazki z życia bogobojnych i pobożnych polaków i polek**, ofiarowane młodemu wiekowi, napisane przez Józefa Szmigielską, serya druga, a które to dziełko jako odpowiednie wewnątrz wartości i ozdoby wydaniem, bardzo posłużyć może na zbliżający się czas Gwiazdki (kolędy). Cena egzem. na pięknym papierze z czterema rycinami i ozdobną litografowaną okładką, w oprawie rs. 1 kop. 50. Toż samo dzieło bez oprawy na zwykłym papierze rs. 1 kop. 20, bez rycin zaś w zwykłej drukowanej okładce kop. 75. Wydawca wnioskując z przyjęcia pierwszej seryi tegoż dzieła, czego jest dowodem wyczerpanie edycji, ma nieomylnie przekonanie, że i serya druga wyz. wzmiankowana, tegoż samego dozna powodzenia.

Nakładem tejże księgarni wyszło dziełko: **Zbiór powinszowań** wierszem i prozą, na wszystkie uroczystości rodzinne, jako też wpisy do imionników (sztambuchów) w języku polskim i francuskim, zebrane z najlepszych autorów, z dodaniem wielu oryginalnie napisanych, wydanie drugie poprawne, przez A. Niewiarowskiego. Książka ta złożona z 500 blisko stron druku, obejmująca w sobie przeszło 700 różnych powinszowań, na białym papierze, kosztuje rs. 1, toż samo dziełko oddzielnie po polsku wydane, kop. 60. Nabyć można w księgarni wydawcy i we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych, oraz na wszystkich urzędach i stacjach pocztowych. Dodać tu należy, iż na zbliżający się czas składania życzeń w Nowym Roku, książka ta w zupełności odpowie potrzebie.

Trufle perygordzkie, imbir smażony w cukrze, sardynki w oliwie, łosoś elbląski, niemniej pasztety strasburskie, szynki bawońskie, kiełbasy Brunswickie, buljona francuzki z trufkami, musztardy: Bordeaux, Angielska, Dusseldorfska i krajowa, oraz

BUKALJE SWIEZE

otrzymał handel win i korzeni

FRANCISZKA ROZMANITH

przy ulicy Długiej, w hotelu Polskim.

SYROP OWOCOWY

(Extrait de Fruits).

ulgę przynoszący w chrypkach, kaszlach i w ogóle w słabościach piersiowych, wyrabiany z najlepszych owoców południowych, codziennie świeży sprzedaje się w cukierni Roberta Wisnowskiego, przy ulicy Długiej Nr 585 w hotelu Polskim.

Zawiadamiam szanowną publiczność, iż odtąd i nadal w cukierni mojej przy ulicy Długiej w hotelu Polskim Nr 585, wyrabiać będą nowe gatunki Tortów, jakoto:

(1) **MARACHINO-TORT**

Nasycany essencją marachinową, nader delikatny, niestarzejący się, a ztąd do przewożenia na prowincję zdalny. Tort ten, lubo w cenie nader umiarkowanej (od rs. 1 k. 50 do rs. 4 za sztukę) zaleca się - wszystkiemi przysmotami wyborowego ciasta i na szczególną uwagę w dobroci swojej zasługuje.

(2) **WICTORIA-TORT**

Ciasto na sposób angielski, wyrób wyższej szkoły cukierniczej, obok przyjemnego widoku, mieści w sobie wszystko, cokolwiek najsmakowszego smak złączyć może. Cena za sztukę od rs. 3 do rs. 6.

R. Wiśniewski.

POSADZKI PARKETOWE

w trwałej i formowanej robocie, w najgustowniejszych wzorach wykonane, możemy po nader tanich cenach, jako powszechnie za najlepszy wyrób uznane, polecić, nadmienając że przy znacznie powiększonej produkcji jesteśmy w stanie wszelkim zamówieniom w jak

najkrótszym czasie zadość uczynić. Oryginalne modele, rysowane wzory i cenniki na żądanie chętnie bywają nadsyłane. Zapakowanie bardzo tania się liczy.

Hfeld przy Marzu w Królestwie Hanowerskim. Hfeldska fabryka posadzek parketowych i wyrobów z drzewa

FRANCISZKA ATHENSTAEDT.

MASSY

do zaprawy podłóg i posadzek w różnych kolorach, oraz

MASSA BIAŁA WOSKOWA

do posadzek mozaikowanych drzewem różno-kolorowem jakoteż prędko schnące

ZAPRAWY LAKIEROWE

i
FABRYCZNE

do podłóg nie wymagających froterki wszystko to wyrabiane

W PATENTOWANEJ FABRYCE

LAKIERÓW

J. A. KRAUSSE

przy ulicy Bonifraterskiej Nr. 2163 wprost Kościoła,

a w obecnej porze w znacznym zapasie przyrządzone, sprzedają się po cenie stałej i nadzwyczaj umiarkowanej tak w Fabryce, jak i w Głównym Składzie przy ulicy Miodowej Nr. 484 nowy 8, wprost Rządu Gubernialnego i w wielu handlach Warszawskich, jako też we wszystkich miastach Królestwa i Cesarstwa.

Dom handlowy

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz egzystującego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy Miodowej pod Nr 492, z dniem 13m grudnia r. z. otwarty został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście (pod Nr 15 nowym)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych, francuzkich, angielskich i innych w najkompletniejszym wyborze, a mianowicie:

Pajaki, zegary stołowe i ściennie. Świeczniki, wazon, kandelabry. Lampy stojące i wiszące. Konsolki, Bronzy do firanek, Laski, Broszki, Bransoletki, Deszczochrony, A tout cas, Spierorgi, Portmonetki, Cygarniczki, Pugilarsy, Kapelusze jedwabne paryzkie, Porcelany, Pachnia, francuzka i starosaska, Kalosze i Pachnia, gutaperkowe, Przybory do podróży, Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, Mydła i wszelkie wyroby brązowe i porcelanowe. Polecając się prześwietnej publiczności, wyżej wymieniony Dom handlowy starać się będzie przez najumiarkowawsze ceny i rzetelną usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie nadal na zaufanie i na względy, któremi do tego Publiczność go zaszczycała.

Do dzisiejszego nru Tygodnika dla prenumeratorów na prowincyi, dołącza się spis nasion ze składu dra F. Betzhold w Warszawie. Przymem nadmieniam, iż z powodu zniszczenia przez ogień spichrzów nasion powyższego składu, a przez to sprowadzenia na nowo świeżych transportów, wszelkie obstalunki tak zaległe jak i dopiero poczynione, przed końcem b. m. nie będą mogły być ekspedywane.

W Drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.— Warszawa dnia 3 (15) grudnia 1860 r.— Starszy cenzor, F. Sobieszcański.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

Redakcyja przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście w domu PP. Witytek Nr 391.